

WIZIMIERZ SAYSSÉ-TOBICZYK

156.



W 'SNIEGACH

KAZIMIERZ ŚAYSSE-TOBICZYK.

W ŚNIEGACH

CYKLU GÓRSKIEGO:
KLUB BŁĘKITNEJ TRÓJCY
CZĘŚĆ PIERWSZA.



NAKŁADEM I DRUKIEM ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH EUG.
I Dra[™] KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH (DAWNIEJ ORGELBRANDA)
W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 66. — SKŁAD
GŁÓWNY W KSIĘGARNI KONST. TREPTĘGO W WARSZAWIE.

COPYRIGHT BY
Dr. KAZIMIERZ SAYSSÉ-TOBICZYK
LWÓW, KADECKA 16.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU, PRZE-
KŁADU i REPRODUKCYI ZASTRZEŻONE.

OKŁADKĘ i RYSUNKI, WEDLE ORYGINALNYCH ZDJĘĆ FO-
TOGRAFICZNYCH Z ALP RUMUŃSKICH WYKONAŁA ANNA
GRAMATYKA-OSTROWSKA. — KLISZE WYKONANO W ZAKŁ.
GRAFICZNYCH E. i Dr K. KOZIAŃSKICH WARSZAWA-KRAKÓW.

TEGOŻ AUTORA:

MONTE ADAMELLO. Opowiadanie z podobłocznych
wyzyn Alp włosko-tyrolskich. Nakład księgarni
J. Czerneckiego. Kraków 1918 — wyczerpane.

Wydanie drugie. Ozdobne, z ilustracjami Alfre-
da Terleckiego — w przygotowaniu.

SŁONECZNA OPOWIEŚĆ. Nakład Sp. Wyd. Prom
Warszawa—Lwów 1919.

HINDU. Nakład Sp. Wyd. Prom. Warszawa—Kraków
1919 — wyczerpane.

Wydanie drugie. Tow. Wydawnicze we Lwo-
wie 1920.

*Henrykowi Fasińskiemu
i Ferzemu Konopackiemu
moim przyjaciołom i towarzyszom górskim
poświęcam.*

KLUB BŁĘKITNEJ TRÓJCY

CYKLU GÓRSKIEGO K. B. T.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.



I.

Fryderyk Józef Stanisław trojga imion Waygert, w świecie sportowym ochrzczony przezwiskiem „Stary“, członek klubu Błękitnej Trójcy — mój przyjaciel i długoletni towarzysz wypraw w Alpy, Tatry, Wschodnie Karpaty, Góry Rodniańskie i Kelimeny — liczy lat trzydzieści cztery, ma przeszło metr i dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości, szaro-niebieskie oczy i płowe włosy, sto trzydzieści centymetrów obwodu w pierśsiach, waży osmdziesiąt siedm kilogramów, ubiera się starannie, ma grecki profil i jest z zawodu inżynierem.

Podnosi prawą ręką r w a n i e m siedmdziesiąt cztery kilogramy, lewą niewiele mniej, jeździ po mistrzowsku konno, gra golfa i tenisa, pływa, fechtuje się i strzela premiowo z pistoletów.

Fryderyk Waygert jest sportsmenem z krwi i kości.

Mówią o nim, że jest zręczny jak pantera, silny

jak słoń, zawzięty jak buldog, odważny jak lew, zrównoważony umysłowo niczem wół podolski. Jada trzy razy dziennie, nie pije, nie pali, nienawidzi tańców, kart i kina.

Fryderyk Waygert jest pozatem mrukiem.

Włada wprawdzie pięcioma językami w słowie i piśmie, czytuje w oryginale d'Anunzia, Wilde'a i Kiplinga, Lottiego i Rostanda, Kellermana i Karola Maya — odzywa się jednak w ogólności rzadko i odpowiada monosylabami.

Toteż rozmowy jego z Nidowiczem, tak zwanym Magiem, drugim z kolei członkiem Klubu Trójcy, przypominają po największej części styl dyjalogów książki Ollenderfa.

— Słuchajno, Stary — mamy konstytucję — zaczyna tonem pełnym przekonania typowy **Mi-ster Contradict** Nidowicz.

Waygert wykrzywia się niemilosierdzie, lecz mileży zrazu.

— Demokratyzacja, równouprawnienie — ludzi podstępnie Magik. Zgoda, braterstwo, równość... cóż chcesz? —

— Nad dorzeczem Górnego Nilu wybuchł bunt. Pawianom zachciało się trąby — poczyna mru-czeć Stary.

— Co ma do rzeczy Nil? Może chciałbyś, byśmy dostali jakie kolonje w spadku po Anglikach? Najlepiej Himalaje! Byłoby poczem drapać się — to prawda. Szczyt Gaurizankar...

Stary rozkracza wielbłądzie odnóża i miażdży wzrokiem interlokutora.

— Właśnie.

— Więc niby co?

— To niby, że... co cię może to interesować?
Mnie bo przynajmniej nie a nie!

— A jednak pomyśl tylko, gdyby tak nam dali jakie kolonie w Afryce lub w Azji, toby —
Waygert ma dość. Podnosi rękę i wymachując nią w takt słów, kończy dyskurs.

— Gdyby — toby — boby! Gdyby były kolonie, toby pawiany wszczeły bunt, boby chciały być równouprawnionymi obywatelami i suwerenami wedle tej niby jakiejś konstytucji. Bądź zdrów...

Potomek rodziny starej, zamożnej i ustosunkowanej, urodzony i wychowany zagranicą, nie przejął się duchem środowiska, które go wydało, od dziecka zdradzając pociąg do samotności i chodzenia „sobie luzem“ z uporem, wykluczającym wszelkie interwencje władz pedagogicznych. Toteż staranne zresztą wychowanie nie zdołało w nim zabić natury prostej, szorstkiej, otwartej a dzikiej, stanowiącej dziwaczny kontrast z jego dobrodusznymi oczyma i wykwintnem extérieur człowieka lepszej sfery.

Dopiero po długim z nim obcowaniu udało mi się z trudem poznać go bliżej. Ten nieufny, stroniący od ludzi, zamknięty w sobie samotnik o barach olbrzyma i oczach smutnego chłopięcia stał mi się z czasem najszczerzym druhem i przyjacielem. Odkryłem w nim człowieka o cichej, nieblyskotliwej, głębokiej inteligencji, złotem sercu,

śpiżowym charakterze i duszy prostej a mocnej, nieuznającej żadnej blagi, żadnego szychu, żadnych kompromisów.

Takim go przedstawiłem w **Monte Adamello** w postaci Piotra z noweli „W Orkanie“.

Waygert jest przedewszystkiem towarzyszem, na którego zawsze i wszędzie można liczyć. Z ścią helleńską kallokatiją jednocząc w sobie męskość charakteru, inteligencję i sprawność fizyczną, stanowi wprost ideał kompana górskiego. Jego rozwaga, spokój i energja — oto atuty nigdy niezawodne, nie zastąpione niczem, sprawiające, że z czasem Stary stał się nieodzownym, nieocenionym, koniecznym niejako współtowarzyszem i głównym filarem wszelakich naszych wypraw turystycznych — jednym z trzech członków K. B. T.

Klub Błękitnej Trójcy K. B. T. — którego godła lazuruwej barwy, niby sztandary zwycięskich zdobywców, tylekroć niosły się obłocznym szlakiem górskiego królestwa — jest kongregacją dosyć osobliwą.

Nikt go nie ochrzcił, ani nie zakładał, jakoś się sam założył. Nazwę zawdzięcza barwie kurtek skalnych, trzech jednakowych niebieskich płótnianek, kupionych przez nas ongiś u Langerera przy Kaiserstrasse w Wiedniu.

Od lat wyrusza w góry nierozdzielnie i zawsze w pełnym składzie.

Właściwych członków liczy trzech, jako że najmniej **tres faciunt consilium**. Wszyscy trzej

mają specjalne przezwiska międzyklubowe, przeróżnej genezy, poprzyczepiane niewiadomo kiedy, gdzie i przez kogo. Mnie więc ochrzczono „Numą Planetnikiem“, Waygerta „Starym“, względnie „Starym Psem z Berniny“, zaś Nidowicza wielce coprawda odpowiednią nazwą „Wściekłego Maga K. B. T.“.

Nidowicz bowiem trzeci i ostatni członek Klubu Trójcy, stanowi okaz istotnie magiczny. Filozof, malarz i poeta, żelazny student sorbońskiej wszechnicy, nieobliczalny warchoł, kpiarz, lekkoduch, chroniczny włóczęga, najzabawniejszy w świecie konglomerat wykluczających się niemal ekstremów, dziwactw i przeciwieństw, czyli — jak sam mówi — człowiek szerokiej rozwartości życia.

Tej rozwartości ma w sobie bez kwestji niesłychanie wiele. Awanturniczość egzotycznych planów, entuzjazm młody i nieokiełzany — z drugiej zaś strony zimną krew, zawziętość, nieubłaganą, twardą konsekwencję i drobiazgowość w realizowaniu szalonych swych pomysłów. Jeśli raz uzna jakiś plan za dobry i wykonalny, przeprowadza program bez apelacji, z żelaznym uporem i wytrwałością wprost zdumiewającą.

Na pozór cynik, zrażony do ludzi, nie uznający zagadnień społecznych czy politycznych, niecierpiący tłumy i współczesności z całą jej obłudą i dysproporcją idei a czynów — i znowuż człowiek o helleńskim kulcie urody życia, entuzjasta piękna, zdrowia i siły, sportsmen i esteta, krew z krwi i kość z kości Ziemi Syn najszczęśliwszy.

— Byle szeroko, byle całą piersią! — zwierzał się nieraz w górach przy ognisku. Rozmach! Rozwartość życia — ot co! Nie cierpię pośredniości. Wszystko na świecie jest fatalnie względne. Po jakimś dłuższem koczowaniu w górach cywilizacja zdaje mi się tracić w kontraście z twardą pierwotnością wrażeń wszelakie swoje nieprzyjemne strony, wszelakie „ale“ szarej codzienności. Jestem podówczas skłonny do apoteozy łada fotela lub białej serwety. Wszelkie przejawy życia, od najsubtelniej wyrafinowanych podniet duchowych, do najprostszych nawet, najpierwotniejszych, animalnych wrażeń, uzależnione są od perspektywy czucia i myśli, indywidualnej zdolności użycia, wartościowania i potrzeb psychicznych. O pełni jednak i tężyznie życia decydującą jest dla mnie rozpiętość kontrastu wrażeń, pojemność odczucia, szerokokątna rozwartość życiowa.

Kontrast niweczy drobne akcesorja, gasi refleksy, tłumi relatywność — daje kontury ostre, proste i imienne, zdecydowane oświetlenie rzeczy. Niechby i mylne zresztą — z dwojga złego wolę żyć młodą, urodziwą pełnią kontrastowego traktowania zjawisk, niż grzęzawiskiem drobnej analizy, beznadziejnością mętnej wszechstronności ludzi współczesnych.

Ty to znasz, Stary — hę? Tę niezrównaną, oszalamiającą rozkosz powrotu z przydłuższej włości. Wracamy brudni, czarni i zmęczeni, nawpół zdzieczali. Prosto z Juljera a Paris. Bywało! Prościutko z dziczy skalnej i nieruchomej ciszy pól

lodowych w kipiące życiem bulwary paryskie, w przepych wykwintnych salonów highlife'u, atmosferę zbytku, dobrego tonu, subtelnego smaku, wielkowiejskości.

Wszystko mnie wówczas bawi i zachwyca.

Poję się blaskiem, ruchem, grą kontrastów, świetnością, szykiem, modą, sensacjami — życiem, co huczy, przewala się wściekle, kipi...

Bulwary — !

I znówuż tłum dystyngowany, strojny a chłodny. Ciżba fraków nieskazitelných linji — Wielki Świat. Szyk, przepych, subtelność, rasowość. Piękne kobiety w oprawach klejnotów. Upajająca atmosfera chwili w kalejdoskopie krańcowych kontrastów —

Ot tedy bulwar, szalejący życiem, niby olbrzymia rozszumiała rzeka!

Lecz za nic czekać, aż zmierzchną kontrasty. Lecz za nic pytać co to jest ten bulwar, ten tłum, to życie, ta gorączka ruchu, ten blask i przepych salonów paryskich, ten wykwint, Wielki Świat —

Wrażenie gaśnie. Świetne bulwary i pyszne salony poczynają cuchnąć błotem i brudem, szarą codziennością, wstrętą ulicą życia. Im dłużej myśleć, przyglądać się, patrzeć, tem bardziej mierzchną czarodziejskie chwile. Gasną bulwary, szarzeją salony, Fata Morgana bierze w łeb.

Ot tak — mój drogi.

Patrzyłeś zrazu w bulwar i myślałeś: świetne! pyszne! wspaniałe! Potem patrzysz w bulwar i myślisz: smutne! szare! brudne! wstrętne! Przed tem

widziałeś bulwar, potem widzisz motłoch — imienny ludzki motłoch.

Salony tedy —

Kocham je — ! Z radością patrzę w głębie sal wytwornych, zalanych światłem, dyszących haszyszem dobrego tonu, subtelnego smaku. Kocham te świetne, czarowe bukiety wykwintnych kobiet, blask ich biżuterji, wdzięk ich toalet, ruchy ich rasowe, gesty, spojrzenia. I ten rój wytwornie pańskich gentlemanów —

I myślę zrazu: świetne! przewyborne! wspaniałe! pyszne! A potem:

— Wie pan, pani ta to owo, a tamta tamto, a ten pan dlatego, a wszystko po to...

Wyłązą zwolna trywialne podszewki wielkich toalet. Bukiety dam wykwintnych zmieniają się w zgraje miejskich kumoszek, rażonych bontonem, a gentlemani w wyfraczonych błaznów, snobów, kramarzy, głupców czy łajdaków.

To bezimienny Wielki Świat odśtania swoje, imienne oblicze.

No, tak —

Na szczęście unikam zazwyczaj owego kryzys w sam czas. Nazywa się, że jestem gburem, dziłkim człowiekiem. Może być —

Wracam do pracy lub uciekam w Alpy.

I siedząc w jakimś podniebnem schronisku na Monte Rosa, upojony ciszą i majestatem śnieżnego królestwa, widzę nanowo w magicznym pryzmacie des extremes tęczowe, przebajeczne

zjawy świetnych salonów, rozgwarnych bulwarów,
życia — co kędyś w niżach, w dali sinej, tętni za-
wrotnie, przewala się orgją wściekłej pogoni nie-
wiadomo zaczem, pędzi na oślep, niby rozszumiała
potworna rzeka, kipi, wre, szaleje —





II.

Poznaliśmy się przed dziewięciu laty w Salzkammergucie.

Wracałem wówczas z wiosennej wycieczki w pasmo Dachsteinu. Współtowarzyszy pożegnałem w Haistadt i zamiast jechać na Salzburg do Wiednia powędrowałem pieszo Pojezierzem.

W Mondsee ulokowałem się w starym lecz schludnym zajezdzie górskim „Zur Post“ z perspektywą spędzenia paru jeszcze dni wśród gór i natury.

Cisza, odludzie, przepyszna pogoda, zima po szczytach wokrag, a wiosna w dolinach i czarodziejskie, błękitne jezioro w girlandach lasów i łąk ubarwionych pierwszym wiosennym kwieciami.

W jakieś pogodne słoneczne południe siedziałem sobie samotnie na ławce ponad jeziorem, śledząc migoty fali złote i tęczowe w sennych po blaskach kwietniowego słońca.

I była przystań. I był szereg ławek, wzdłuż małego molo. I piaski wilgne ścieżek i deptaków.

Błękit jeziora i błękit powietrza. I nieruchome, bladeżłote plamy refleksów świetlnych po ziemi i wodzie.

Sezon wiosenny.

Na wybrzeżu cisza. Ledwie parę osób.

Po pustem molo snuła się wzdłuż ławek bosa kwieciarka.

— Weźmie pan?

Primulae veris.

Wysmukła, wiotka postać w Dirndltracht. Dziecinne niemal ręce. Twarzyczka ściągła, ciemna, prawie śniada. Tylko ogromne, jasne oczy, koloru wody w Mondsee.

Szła wzdłuż linii ławek i mechanicznie, z bezbarwnym uśmiechem szeptała swoje:

— Weźmie pan?

Lazurowa kopuła niebiosów wsparła się kędyś w wyżach po szczybatych, śnieżnych wierchołkach gór ponad jeziorem. U alei wiodącej z miasta ku małej kapliczce przed promenadą stare, olbrzymie klony tonęły w blade szmaragdowej gąszczy rozwijających się paków listowia. Po nadbrzeżnych łąkach soczysta zieleń świeżych traw alpejskich. Tęcze podbiałów, krokusów, stokroci —

Wiosna —

Wiosna w Mondsee —

Góry, jezioro, zieleń traw kwietniowych, błękitna roztocz powietrznych przestworzy, cisza i senny bezwład południowy, wszystko dokoła,

W śniegach.

ziemia i niebiosa zdały się zionąć tchem upajającym.

Cichy szept słońcem spłomienionej fali krzesił pomierzchłe od wieków legendy, klechdy dziwaczne o zaklętem Mondsee, o księżycowem zamczysku w jeziorze — baśni świetlane, zjawy czarodziejskie, co rok na nowo budzące się z wiosną.

Cichy szept fali marzył — skrami kropel rozmigotanych w perły i opale, wizje tęczowe niecił.

Głaz olbrzymi sterczący z bezdni cichego jeziora z żelaznym krzyżem na omszałem czubie wystrzelał w bezmiar błękitnych roztoczy, niby potężny gmach krzesany w skale, niby zamczyśko jakieś chmurne i złowrogie, posępną masą omroczałych murów rozkwiecionemu światu urągliwe...

A za murami, z poza rdzawej kraty królewna wróżka —

— — — — —
 — Raczy Jej Wysokość patrzeć łaskawie na mnie. Tylko na mnie. To straszny człowiek. Spadł prosto z lodowca do waszego Mondsee, a teraz drzemie. No, spójrz królewno — ani drgnie.

Szkicownik. Malarz — oczywiście malarz — kombinowałem obserwując scenę rozgrywającą się trzy ławki dalej. Bosa kwieciarka — model. I ów straszny człowiek siedzący obok na tej samej ławce.

Obaj mężczyźni w alpejskich kostjumach. Solidne kurty z berbery, buty Becher-München, twarze spalone od wichru i słońca, zamaszyste

miny — widocznie żadni jacyś „od niedzieli“,
lecz jak się patrzy ludzie z gór.

— Twarzyczkę trochę w prawo. Ot tak —
A w zamczysku władał zgryźliwy, siwowłosy starzec,
który chciał szczęście spreparować w tyglach,
wyrozumować i wypisać gładko na prasowanych kartach pergaminu,
by każdy wiedział, jak i co. Studjował tedy, ślezczał, myślał, pisał,
kreślił i znowu pisał, tworzył systematy, prawa, religje,
budował maszyny, łapczywie łykał wszelakie mądrości
w swym ciemnym, w głazie kowanym zamczysku
i pluł przez lufcik na świat za murami —

Świetna wymowa, głos młody i dźwięczny,
dobra niemieczyzna, — tylko akcent nieco obco-
krajowy. Poeta chyba. Malarz i poeta, czart raczej
wiedzieć skąd? Słowianin? Turek? Francuz?
Pewnie Francuz —

Jej Wysokość wpatrzona w oddal dużemi oczyma
zastłuchanego dziecka. Smukła sylweta na szmaragdowym tle
zwierciadła wody z pękiem złocistych prymul u naręcza.

Zaś straszny człowiek z obojętną miną, fajką angielską
w zębach i długimi, wyciągniętymi przed siebie nogami,
jakby go w okół nie nie obchodziło, oprócz jeziora —
siedział nieruchomo, twarzą ku wodzie — olbrzym,
o barach jak piec rozłożystych, złocistowłosy i niebieskooki.

— I pluł przcz lufcik — ciągnął ieprzerwanie poeta-malarz.
Zę złości pluł przez lufcik na świat za murami,
bo żywy świat z za murów niepojęta

mocą błękitu nieba, woni łąk skwieconych, blasków słonecznych i świegotu ptactwa dziwne mu płatał figle. Co chwila niby ten sam, niby inny, wręcz nieuchwytny. Dziś tak, jutro owak.

Co rok przez okna po słonecznej smudze złotych promieni wdzierała się pomrocza czarnych orszakiem niefrasobliwej, swywolnej hołoty śmiezków, chochlików, faunów i rusałek.

Eheu! O zgrozo!

Szanowne foljały! księgi dostojne! pyszne pergaminy! bezcenne karty wiekami pisane, zawierające niewzruszalne prawdy, dogmaty bytu, fundamenty myśli udowodnione na wszelkie sposoby czarno na białym, tak, by każdy wiedział, jak i co — gdzieżeście?

— Gdzieżeście? — wołał rozwścieczony mędrzec władcyka zamku.

— Na zielonej trawce — odpowiadały roześmianym chórem wiosenne biesy. Zwiewne nasze skrzydła utkane z pyłów słonecznego złota lada muśnięciem gaszą twoje znicze. Ot, tedy twoje „jak i co“ niezbite niczem fika koziołki na zielonej trawce!

Niedocieczone są tajniki życia.

Wówczas to mędrzec władcyka zamkowy zczaił się zdradnie, pochwyił królową wraz z jej orszakiem, wtrącił w loch najgłębszy i zakuł w dyby, byle raz na zawsze zbyć się opozycji.

— Główkę proszę wyżej. Jeszcze. Ot tak — dobrze. Raczy Jej Wysokość przegiąć się nieco

w tył. A... oczywiście królowną ową jesteś ty. A jakże! Uciekłaś z lochu i rozdajesz kwiaty, tryumf wiosenny...

Zasłuchane dziewczę patrzyło w oddal słonecznym spojrzeniem swych jasnych, wielkich, szmaragdowych oczu koloru wody w Mondsee. Świeżane refleksy rozkołysanej, migotliwej fali opłomieniały wysmukłą jej postać pieszczotą błysków złotych i tęczowych.

I nagle twarz jej zmierzchła. Cień powątpiewania zmroczył jej pyszne, rozchylone nieco cichą zadumą, wiśniowe usteczka, pogasił blaski w oczach.

— Pan żartuje ze mnie. Bardzo nieładnie — wyszeptala cicho z urazą w głosie.

— A niechże Bóg broni. Ani mi w głowie. Ile masz lat?

— Szesnaście.

— No więc?

Z powagą zamknął swój szkicownik, schował ołówki i zapalił fajkę.

— Zaraz wyjaśnię Waszej Wysokości wszystko dokładnie, gdy się ma oczęta, buzię i figurkę, taką jak ty i-tyle lat, co ty — jest się królowną. A tak, królowną — wierz mi. Jedyne bowiem prawdziwym królestwem i królewskością jest wyłącznie piękno, zdrowie i młodość — wiosna! Oto najwyższy skarb ziemskiego życia, najpotężniejsza moc cudami władna, najdoskonalsze misterjum wszechbytu. Ale ty nie wiesz co to jest misterjum, nieprawdaż mała?

— Nie.

— Ani, że jesteś prawdziwą królową, co? My zato wiemy. Kto tylko spojrzy, zaraz sobie myśli: Wiosna! Królowa-wiosna!... Chyba, że jest ślepym, albo idjotą, albo złym człowiekiem. Wszyscy cię muszą kochać i podziwiać, nawet ten oto straszny pan.

Ogromne, jasne, szmaragdowe oczy koloru wody w Mondsee z niedowierzaniem ogarnęły postać zapatrzonego w jezioro olbrzyma.

Nagle zdumiałem się.

— Słuchajno, Stary — ozwał się głośno najczystsza polszczyzną rzekomy Francuz. Siedzisz, jak purchawka, zamiast zachwycać się. Widziałeś kiedy coś podobnego? Przypatrz się — te oczy...

Olbrzym odwrócił się niedbałym ruchem.

— No cóż? Przystojna — wybąknął nareszcie Krytycznym wzrokiem obrzucił dziewczynę. Była bez kwestji śliczna.

— Owszem ładna! First class — przywtórzył. Lecz, po kiego licha ty tyle gadasz?

— Nudzisz Stary. Ale podoba ci się — niema co... Hej panie... — zawołał nagle za jakimś przechodniem, krocącym zwolna spacerowym krokiem obok ich ławki.

Starszy pan w binoklach, pewnie emeryt jakiś, z brzuszkiem i łysiną, zarył się w miejscu puszczając z przestachu niesioną w ręku laskę i kapelusz.

— Nieprawdaż panie — recytował malarz jednym tchem w tonacji wykluczającej wszelką opozycję — że ta dziewczynka jest istną królewną. Niech się pan przyjrzy. No co? Jest, czy nie jest?

Emeryt podniósł laskę i kapelusz, przetarł binokle, obrzucił malarza niezbyt uprzejmym, podejrzliwym wzrokiem, ujrzawszy jednak ogorzałą w słońcu twarz alpinisty i minę łobuza, zaryzykował zbadanie obiektu.

— Istna królewna. Allerdings — potwierdził z kwaśnym uśmiechem, skłonił się i odszedł.

— No, nie mówiłem? — tryumfował malarz. Wszyscy cię muszą kochać i podziwiać. Więc jakże Stary?

Stary wyjął portfel i flegmatycznie przerzucał baknoty.

— Co jej dać?

— Co? Wszystko — krzyknął z emfazą sympatyczny warjat. Wszystko! serce! duszę!... — Idziemy teraz razem na kolację.

Wielkolud spojrzał z bezdennem zdumieniem na towarzysza.

— Jak to? Niby — z kim?...

— Co nie chcesz? Nie, to nie! Addio! Pójdę sam! Tem lepiej.

Ujął pod ramię bosonogą damę i wolnym krokiem ruszył w stronę miasta; nie oglądając się na przyjaciela.

Ów zaś przez chwilę patrzył z roztargnieniem za znikającą u zakrętu parą, poczem odwrócił się twarzą ku wodzie, splunął przez zęby i począł zwolna flegmatycznym ruchem nabijać swoją angielską fajeczkę.





III.

W dwa dni później spotkałem go na promenadzie.

Snuł się samotnie z rękami w kieszeniach i fajką w zębach po pustym wybrzeżu. Okrążał ławki, włóczył się po molu, znikał w alei wiodącej ku miastu i w parę minut zjawiał się z powrotem. Czasem przysiadł na ławce nad wodą i patrzył w stronę skalistego złomu wierzchołka Schafberg.

Najoczywieściej wyczekiwał kogoś i niecierpliwił się.

Po jakimś czasie, obserwując jego dziwne wędrówki, zauważyłem, że ilekroć mijał moją ławkę, przyglądał mi się z niezwykłym zajęciem. Zwalniał nawet kroku, przechodził tuż po zamną, ocierał się niemal o moje plecy. Raz nawet przystanął i począł patrzeć wprost przez poręcz ławki na mój skórzany, alpejski kapelusz, górskim zwyczajem udekorowany szeregiem odznak wszelkich możliwych klubów turystycznych.

Kombinowałem, że prawdopodobnie z nad-

miaru nudów miał zamiar nawiązać rozmowę ze mną. Udawałem jednak, że nie spostrzegam tego. Nie uśmiechały mi się nowe znajomości. Wszak po to tylko przybyłem do Mondsee, by choćby parę dni wypocząć sobie zdala od lubych bliźnich wśród natury i samotności martwego sezonu.

Jednak myliłem się. Przez cały ranek wielokrotnie krążył w pobliżu mej ławki, lecz nie zagadał do mnie ani słowem.

Tymczasem malarz i bosa kwieciarka nie nadchodzili jakoś. Minął ranek, zjadłem na mieście obiad, wróciłem nad Mondsee — o szalonej parze jakby słuch zaginał.

Drugi turysta nadciągnął niebawem, od strony miasta i począł znowu krążyć nad jeziorem.

Wkońcu po paru godzinach włóczęgi tam i z powrotem po pustym wybrzeżu, zbliżył się do mnie, bąknął niewyraźnie: s' e r l a u b t? — i usiadł na tej samej ławce.

Poczem dalej milczał.

Ćmił swoją fajkę i w dalszym ciągu przyglądał się memu kapeluszowi.

Poczęło mnie to wreszcie niecierpliwic.

— Może przeszkadza panu mój kapelusz? — spytałem tonem cierpko-ironicznym z miejsca po polsku.

Olbrzym podniósł głowę i spojrział na mnie obojętnym wzrokiem.

— Przeciwnie — mruknął. Nic a nic.

— Idjota!... — pomyślałem z pasją.

— Wolno więc wiedzieć dlaczego pan patrzy na mój kapelusz? — Z celem, czy bez celu?...

Wyjął fajkę z zębów i zdmuchnął popiół.

— Właściwie bez celu — odparł spokojnym tonem. A pozatem chciałem przypomnieć sobie, skąd znam tę odznakę biało-czerwono-złotą z ciupagami. Gdzieś ją widziałem.

— Klub Akademicki, Lwów — objaśniłem.

— Ach, tak! Istotnie! — A. K. T. ze Lwowa. Prawda — ożywił się. Tęgi klub. Tak, tak... Poznałem zeszłego roku paru waszych członków. Dra Ostrowskiego w Chamonix w przeddzień wycieczki na Mont Blanc, a potem w Wiedniu tego podróżnika, Afrykanina, zdobywcę wielkiego Kilima-Ndżaro, sześć tysięcy dziesięć metrów nad morzem.

— Pana Jakubskiego?

— Tak. Jakubskiego. Tęgi klub.

— Panowie, wolno spytać — z jakich stron? Skrzywił się z lekka.

— Nie mieszkamy w Polsce — odparł po chwili.

Brnąłem tedy dalej.

— Interesuje się pa alpinizmem? Z wyglądu sądząc — tak.

— No, tak — właściwie. Mieliśmy zamiar wybrać się na Dachstein z Magiem — zająknął się — z moim kolegą...

— Z tym, z którym wczoraj siedział pan opodal. Malarz? Od dwóch dni nigdzie go nie widać. Cóż się z nim stało? — pytałem naiwnie.

Splunął przez zęby.

— Czort wie!...

Uśmiechnąłem się nieco złośliwie.

— Królowna-Wiosna, he—?

Spojrzał z podełba.

— Skąd pan to wie?

— Przypuszczam. Obserwowałem ich tutaj onegdaj. Ładna dziewczynka —

— Właśnie. To najgorsze! Et! — machnął ręką. Poczem zmienił temat.

— Pogoda zdaje się wytrzyma jeszcze. Był pan gdzie w górach?

— Byłem. Pozawczoraj wróciłem z Dachstein.

Twarz mu pojaśniała.

— Dachstein? A właśnie. No i co?

— Wspaniale. Firny wiosenne, toplitwe na słońcu — przepyszna jazda. Znakomity teren. — Zjazd z pod szczytowych skał zбочem lodowca wprost niezrównany. A kiedyż panowie zdecydujecie się? — spytałem nagle. Szkoda pogody.

Począł trzeć kolano z zaferowaniem.

— Czyste nieszczęście — westchnął żałośliwie. Ot, pech!...

Trafiłem w sedno.

— A, no — wiosna! Wybałamuci się i pojedziecie nie dziś, to jutro. Trudno. Swoją drogą dziewczynka warta grzechu. Nic dziwnego.

— Nie ma co mówić — mruknął desperacko. Stracony człowiek. Spytał jej się wczoraj, przy mnie, czy słońce krąży wkoło ziemi, czy też odwrotnie. Odpowiedziała, że to wszystko jedno.

— No i —?

— No i nic. Zaśmiewał się do łez. Całował ją po modrych ślepiach, a potem wieczór oświadczył mi serjo, że jest cudowną prostą, niedotkniętą trądem kultury, niepokalaną w pysznej pierwotności, najczystsza Wiosną i że się ożeni —

— Z kim —?

— Z nią! Ożeni się! I cóż pan na to?

— Żartował pewnie.

Uśmiechnął się gorzko.

— Panie, trzeba go znać! To istny warjat.

— Eh, niepodobna — zaoponowałem. Przecież to prosta dziewczka! Wprawdzie ładna, ale pozatem... Nie do pomyslenia. Jakaś kwieciarka.

Przerwał mi ze złością.

— To wszystko jedno! Co mnie to obchodzi z kim się chce żenić! Jego rzecz! — Idjota. Może się pobrać nawet z czarownicą lub samym djabłem. To nie zmienia sprawy.

— Więc o cóż chodzi?

— O to, że się żeni. Pal licho z kim. To wszystko jedno. Ale się żeni! Po co — !? zgłupiał chyba. Tyle lat razem włóczymy się wszędzie — Alpy! Karpaty! Bałkan... Panie — taki kompan, taki towarzysz!... Zżyłem się — aż naraz: żeni się! Zwarjował!...

Usiłowałem zachować powagę.

— Ha, nie ma rady. Znajdzie pan innego współtowarzysza. Tylu ludzi chodzi nieźle po gó-

rach, że nie łatwiejszego, jak dobrać sobie innego kompana.

Popatrzył na mnie przygnębionym wzrokiem, z politowaniem jednak.

— Szkoda gadać. Absurd i tyle. Takiego nie znajdę. Stracony człowiek. Ot, pech!...





IV.

Wieczorem pozostałem w domu.

Postanowiłem wyruszyć nazajutrz w powrotną drogę przez Salzburg do Wiednia, chciałem więc wieczór przeładować worek, załatwić pocztę i skończyć rachunki, by być gotowym rano do wyjazdu.

Zaledwie jednak zdążyłem rozłożyć wór turystyczny, usłyszałem kroki na kurytarzu, poczem do numefu wszedł starszy kelner z biletami w rękę.

— Jacyś panowie czekają na dole — poinformował mnie.

Rzuciłem okiem na podane karty. Na jednej widniał napis: *Ing. Frederic de Waygert*, na drugim: *Stefan Stanisław Nidowicz. Paris. Rue Richelien 39 124.*

Kazałem prosić.

— Proszę nam wybaczyć — rozpoczął dziwnie pośpieszną orację nieomal we drzwiach jeszcze mój interlekutor z ponad jeziora, — że choć

nieznajomi, w nieodpowiedniej porze pozwalamy sobie inkommodować go, lecz mamy zamiar wyruszyć jutro rano w grupę Dachstein... opowiadano nam, że pan przedwczoraj wrócił z Symony, chcieliśmy tedy prosić najuprzejmiej o informacje.

Udawał że mnie nie zna.

— Bardzo proszę — odpowiedziałem z chłodną uprzejmością. — Raczcie panowie usiąść.

— Przeszkadzamy — wtrącił nerwowo malarz. Pan jak widzę, zajęty pakowaniem. Może innym razem —

Waygert obrzucił przerażonym wzrokiem porozkładane na łóżku przybory i współrozwartą workę tutrystyczną.

— Jakto... wyjeżdża pan —?

— Niestety muszę. Nie przeszkadzacie mi panowie wcale. Bardzo mi miło.

Usiedli przy stole.

Waygert miał minę zgoła desperacką.

— Otóż, ponieważ jutro —

— Lub w niedzielę — poprawił malarz.

— Stefan! Bój się Boga! — Dzisiaj dopiero czwartek — jęknął olbrzym. Trzy dni! Toż kwiecień — pogoda ucieknie...

— Nie mogę pędzej. Wiesz —

— Siedzimy darmo. Żeby w sobotę jeszcze. Tyle czasu marnotrawimy, zlituj się —

Raz po raz rzucał mi spojrzenia tak rozpaczliwe, że mimo mojej pierwotnej decyzji zachowywania ścisłej neutralności zdecydowałem się interweniować.

— Radziłbym panom spieszyć się — zacząłem kontrofenzywę przeciw malarzowi. Szkoda pogody! Obecne warunki są wyjątkowo dobre. Śnieg cudowny, słońce — czysta rozkosz! Szkoda każdego dnia. Wprost nie rozumiem, po co panowie siedzicie tu w Mondsee, mając pod nosem Dachstein.

— Otóż właśnie — poparł skwapliwie Waygert.

— Zeszły tydzień spędziłem cały w górach. Miałem zamiar wybrać się jeszcze w Taury. Lecz niestety kompani moi nie dysponowali tak długim czasem. Desperuję jednak na samą myśl powrotu. Sezon wymarzony. Moznaby wiele zrobić. Ale trudno — sam nie polecę!

Waygert rozpaczliwie tarł się po kolanie.

— Przyznam się otwarcie — kuśiłem dalej, że gdybym zdołał dziś jeszcze namówić któregoś z panów na Goldberskie Taury, nie namyślałbym się ani sekundy.

Mówiłem zresztą szczerze.

— Jak najchętniej — ozwał się wreszcie malarz. Lecz niestety jutro nie mogę jeszcze. — Owszem — Taury. Toby coś było — westchnął. Jakie szczyty ma pan w programie?

— Hochar, Schareck, Sonblick, Herzog Ernst — olbrzymy, wszystko powyżej trzech tysięcy metrów nad poziom. Lodowiec Goldberg należy podobno do najświetniejszych terenów zimowych. Szczelin nie wiele, stromość nie zbyt duża. Można pohulać!

Cios był wymierzony z całą precyzją.

Zaległo milczenie.

Nidowicz stracił rezon, zgarbił się i patrzył skwaszonym wzrokiem w lampę.

— Więc cóż? — spytałem, mrugając znacząco ku Waygertowi. Moznaby wyjechać jeszcze dziś na noc. Koło jedenastej odchodzi pociąg. — Rano staniemy w Rauris.

Waygert z namaszczeniem zaczął nabijać fajkę. Wydał wargi i obserwował z podełba malarza.

— Wóz albo przewóz, decyduj się teraz — mruknął półgłosem. Albo idziesz w góry albo zostajesz w Mondsee.

Biedny amant targany dwoma sprzecznymi prądami bronił się jednak z zaciekłym uporem.

— Trudno. Nie mogę. Najprędzej w niedzielę. Serjo nie mogę — powtarzał rozpacznie zgnębionym głosem.

— Czy wolno wiedzieć o co panu chodzi — zacząłem z innej strony. Czy koniecznie musi pan zostać w Mondsee?

— Parę dni. W niedzielę mógłbym wyruszyć. Prędzej nie.

— Bo może... lepiej odłożyć owe interesa na przyszły tydzień. Wróci pan z powrotem kiedy pan zechce. Parę godzin jazdy z Rauris do Mondsee. Póki pogoda odbyłby pan turę, a potem wrócił. W własnym interesie namawiam pana wprawdzie, ale mam wrażenie, że panu przecież, jako alpinście, zależy trochę na dobrych warunkach.

Radzę naprawdę jechać. Wszystko inne da się odrobić później, mam wrażenie.

— Więc jedziesz w góry, czy nie? — spytał Waygert zdecydowanym tonem. Bo, co do mnie, nie przyjechałem tu na promenadę. Trzy dni już czekam. — Decyduj się wreszcie tak albo owak! No, już.

Nidowicz westchnął desperacko i schylił głowę.

— W niedzielę pojedę. Prędeż nie. Nie mogę.

Waygert podniósł się z krzesła.

— Szkoda czasu! Otóż — zwrócił się do mnie — jeśli pan nie cofa swej propozycji, jestem gotów! Jadę!

Nidowicz pobladł.

— Jakto?...

— A, no — jadę. A cóż ty myślisz? Nie wolno mi jechać? Zawarłem kontrakt z tobą! Nie, to nie!

Spojrzałem na biednego Maga. Przedstawił obraz nędzy i rozpacz, omal nie płakał.

— Opuszczasz mnie, Stary... Jedziesz sam... No, dobrze... — jękał niepewnie. Nie możesz poczekać tych dwu dni..

— Nie mogę — mrucał zawzięcie Waygert. Za godzinę czekam na dworcu. Żegnam.

Ruszył ku drzwiom.

Nidowicz podniósł się od stołu z miną wisielca.

— Proszę mi nie brać za złe. — Bóg mi świadkiem — nie mogę jechać! Zresztą... Kto wie, może... zobaczę jeszcze...

Pożegnał się śpiesznie i znikł za drzwiami.

W godzinę później zastałem Waygerta rozłożonego z całym aparatem nart, lin, czekanów i sprzętów alpejskich na stacji w Mondsee.

Był w pysznym humorze.

— No — krzyknął ku mnie — jazda! Wszystko dobrze!

— Pan sam? — spytałem.

Uśmiechnął się chytrze.

— Przyszedłem prędzej. Trzymam się metody nie oglądania się na przeciwnika. Został w hotelu.

— Jakto, nie pojedzie?

— Ech nie! Na razie lata po pokoju, klnie, pisze listy, ale się pakuje! Niema obawy.

Wyciągnął do mnie rękę.

— Pan wie — szkoda gadać... bardzo dziękuję — ot co!

Patrzył mi przyjaźnie w oczy.

W blasku latarni zalśniły się nagle w głębi peronu drzewca nart.

Nidowicz.

— Bywaj!! — huknął Stary. Skoczył ku niemu, porwał go w ramiona i ścisnął co miał sił.

— To lubię! Brawo! A, no! — chwala Bogu!

Mag apatycznie pozwalał się ścisnąć, lecz nie rozchmurzał się.

— Poczekaj, Stary... chciałeś bezemniejechać —

Waygert parsknął.

— Ot też — filozof! A cóżes ty myślał, że się bez ciebie ruszę? Byłem pewny, że otrzeźwiejesz. Znam cię — no, daj łapę!

W kwadrans siedzieliśmy we trzech w przedziale. Nie przypuszczaliśmy jednakże wtedy, że losy nasze złączyło już wówczas nieznane fatum w żelazne przymierze, w klub najściślejszy, w węzeł nierozłączny przez lata całe wspólnych ekspedycji zacieśniający się coraz serdeczniej.



W ŚNIEGACH

ZIMOWA WYPRAWA W PUSZCZE ALP
RUMUŃSKICH

CYKLU GÓRSKIEGO
KLUB BŁĘKITNEJ TRÓJCY

CZĘŚĆ DRUGA.



I.

Naturalnie musiało być tak:

Nidowicz zapalił się do projektu, z jakim mu ongiś mimowoli wygadałem się w klubie, napadł na Waygerta, wypalił z piorunową chyżością i przerażającym temperamentem spory ładunek nieznoszących opozycji argumentów, namachał się rękami, zmiażdżył wszelkie istniejące i nieistniejące contra i koniec końcem postawił na swoim.

Waygert, bezwątpienia, siedział pewnie w kącie, émił fajkę i przyglądał mu się z niezmaco-
nym spokojem, póki nie skończył. Potem kiwnął głową i mruknął swoje „może być“.

Oczywiście Nidowicz obruszył się, zwymyślał go od stu dyabłów, wykpił i wydrwił jak się dało, kończąc na starą nutę, że w takim razie jedzie sam ze mną, a bez niego zupełnie dobrze się obejdzie!

W piątek, drugiego czy trzeciego lutego, przyszedł do mnie z miną naiwnego niewiniątka.

— Gotowe?

— Co?

Uśmiechnął się słodko.

— Jak to, co? Prowiant, bielizna, ekwipunek...
Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Ależ ja się nigdzie nie wybieram! Zwarzjowałeś!?

Nidowicz ani się skrzywił.

— Nie zwarzjowałem. Powiedziałeś zeszłej soboty, że wybierzesz się za jaki tydzień w Trojagę i Alpy Rodniańskie, więc przyszedłem oznajmić ci, że jesteśmy gotowi.

Obejrzałem go od stóp do głów i z powrotem. Wyglądał zupełnie normalnie.

— Mój drogi — zacząłem tonem nieco zirytowanym. — Primo — wolne żarty! Powiedziałem wprawdzie, że wartoby się wybrać w przyszłym tygodniu w Góry Rumuńskie, ale bynajmniej nie umawiałem się ani z tobą, ani z nikim innym, co do jakiejś konkretnej wyprawy. Secundo — bądź łaskaw spojrzeć.

Powiódł zwrokiem w kierunku mego palca. W oknie — z poza białawej warstwy lodowego szronu, kryjącego trzy czwarte szyb wzorzystą powłoką, wyzierała niewyraźnie ciemna tabelka termometru.

— 26 C niżej zera! W mieście! Kpisz chyba.

— To siedźże sobie za piecem do stu diabłów! — wybuchnął wreszcie. — Patrzcie! panieneczka! nosek sobie odmrozi.

Olimpijskim gestem sięgnął po kapelusz.

— Chcesz — jedź! Nie chcesz, siedź w domu! My ze Starym tak czy owak jedziemy.

Trojaga i Rodniańskie były od dawna terenem moich projektów turystycznych. Również towarzystwo obu starych moich kompanów górskich zobowiązywało do pewnej solidarności. Lecz, mój Boże, ni stąd ni zowąd bez przygotowania i planu jechać do jakiegoś zapadłego Vissovelgy, stamtąd końmi 80 wiorst do Borsabanya — w taki lajdacki mróz...

— Stef... zastanów się — począłem parlamentować. Warunki przecież wprost fatalne. Cały tydzień zawieja śnieżna, jakiej świat nie widział. Teraz znowu mróz. W górach będzie pewnie z trzydzieści parę stopni. Żeby choć kilka dni poczekać, niech śniegi przynajmniej jako tako osiedą. W takich świeżo nawianych zaspach nawet narty grzęzną na pół metra. Niema sensu — Stef. Pojechałbym bardzo chętnie, ale nie zaraz. Mam jeszcze wszystkie klepki, chwała Bogu.

Podjazd udał się. Nieprzyjaciel wstrzymał odwrót, rozkraczył nogi, machnął kapeluszem i schował ręce za siebie, gotów do kontrofensywy.

— Jadę, bo później nie będę mógł jechać. Nie każdy dysponuje czasem, jak ty. Na Trojadze będę, bom się zawzjął. Mrozu się nie boję, bo mam berbery, skórzaną kamizelkę, w dzień słońce, a w nocy w najgorszym razie pled wielbłądzi i solidny worek do spania. Co do śniegów zaś, to lepiej za dużo, niż za mało. Że zresztą tu spadły takie śniegi, to jeszcze nie racja, by gdzieś w Ru-

munii „duło“ całe siedm dni bez przerwy. Poza-tem mają czas osiąść przez tych parę dni, nim będziemy na miejscu. Zrozumiano?

— Owszem. Ale powiedz mi, czy solidny alpinista lub taternik wybiera się w ten sposób i w podobne warunki na bądź co bądź tak poważną ekspedycję? Przyznam ci się — jechać tyle setek wiorst do Borsabanya, nie dosypiać po wagonach, ekspensować się na dość znaczne koszta i tracić parę dni na to, by w końcu nic nie zrobić.

Nidowicz zrobił pół obrotu ku drzwiom.

— Bądź zdrow!

— Ależ, czekajże, warjacie jakiś! Kiedyż chcecie jechać?

— Niedziela rano. — Masz półtora dnia czasu na zakupy.

Szukałem pośpiesznie jeszcze jakiegoś „ale“.

— No, a konie z Vissovelgy!...

— W poniedziałek będą na stacyi. Zamówiłem listownie z Borsy. Nawet niezbyt drogo.

— A Stary?

— Waygert? — niechby nie! Trzy funty czekolady wpakował już do wora. Choćby i dziś jechać.

Nie było rady.

Wieczorem siedzieliśmy już we trójkę przy stole, zaścielonym trzema starannie zestawionemi mapami: Russpolyana, Vissovelgy i Maros-Borgo.

Mobilizacya nie na żarty.

W kręgu światła, padającego z pod zielonego abażuru lampy elektrycznej, cyrklowałem zawzię-



Widok z Alp Rodniateńskich na grupę Torojagi.

cie dziesiątki wiorst potężnych grani Verfu Toriāga i grupy Rodna.

Z drugiej strony stołu Nidowicz kombinował prowiant i wyekwipowanie, poświstując z zadowoleniem przez zęby. Od czasu do czasu zwracał się ku leżącemu obok na krześle, przerażająco wypchanemu workowi turystycznemu, czyli tak zwanej popularnie „katarynie“ i z głuchym pomrukiem wyciągał jakiś mniejszy lub większy przedmiot, który widocznie nie mieścił się w etacie.

— Wszystko trzeba oczywiście mieć, lecz każdy gram niekonieczny — to katastrofa! Uf — dyabło ciężka...

Podniósł z lubością swoją brzuchatą katarynę.

— Ale raków do lodu chyba nie bierzemy. Wobec takich zasp...

Spojrzał na mnie pytająco.

— Jedną parę — na wszelki wypadek. Ewentualnie zostawi się je w Borsy.

— Ślicznie! Jestem zatem gotów.

Zamknął worek, schował notes do kieszeni i schylił się nad mapami.

— A cóż ty, Numa? No, jakże tam?...

Podniosłem głowę.

— A no — właściwie skończyłem. Plan, zdaje się, wcale niezły.

Waygert, siedzący w cieniu nad filiżanką herbaty, z nieodstępną fajką w zębach, poruszył się wreszcie.

— No, to gadaj...

Wyciągnął leniwym ruchem swoje kilometrowe

odnóza przed siebie i rozparł się wygodniej w fotelu.

Jąłem tłumaczyć opracowanie tury z wszelkimi detailami. A więc niedzela rano wyjazd. Poniedziałek Vissovelgy, saniami na wieczór do Borsy, doliną Cisli do Banya. Tu nocleg. Wtorek przez Stanalui Verticu na Trojagę i Tiganului. Nocleg w Borsy. Środa przez Valea Dragusyo w Rodnę.

Po małej walce projekt został w całości aprobowany.

Nidowicz, który przez cały czas dyskusji latał z chyżością stu kilometrów dokoła stołu, czyhając widocznie na ciemne strony opracowania, by móc jak zwykle awanturować się choćby dla samej zasady — tym razem nie oponował wiele.

Widocznie najzupełniej zadowolony zatrzymał się przed rozłożonym niedbale i zajmującym swym potężnym korpusem dość okazałą przestrzeń pokoju Waygertem i poklepał go protekcyjnie po ramieniu.

— No i cóż Stary? Zapowiada się first class?

Waygert spojrział na niego pogodnym wzrokiem młodego hipopotama, dopił resztę herbaty i zaciągnął się dymem.

— Ha — zobaczymy! Może być...





II.

Dziesięć minut czasu. Futra. Czapy. Kożuchy. Stosy kufrów. Sine od mrozu twarze. Głowy owinięte szalami po oczy. Kłęby pary buchające z ust za każdym oddechem. Zgiełk. Wrzawa. Bieganina. Syk gotowej do wyjazdu lokomotywy. Wywoływanie numerów posługaczy.

Hala peronowa dudni, tętni, dygoce.

Ponad wszystkim wystrzelają dumnie czarne, wyniosłe, rozchylone szczyty niesionych gdzieś w tłoku nart.

Hagen et comp. Christiania. Norwegen.

A na nich błękitne pasy barw klubowych.

Bez kwestji oni — Stefan i Stary.

Pomagając sobie dzielnie łokciami, dobijam wreszcie do nich w chwili, gdy Waygert zatarasowawszy swemi plecami Tantara wejście do jakiegoś wozu, oświadcza cisnącej się tłuszczy głośsem równie uprzejmym, jak i złowrózbnym, że jeden przedział bezwzględnie zarezerwowanym został wyłącznie dla użytku narciarzy.

Dzięki temu improwizowanemu oczywiście manewrowi, znajdujemy się wkrótce wewnątrz wozu wraz z swoimi brzuchatymi worami i całym sprzętem turystycznym. Do przedziału przyjmujemy z wrodzonej grzeczności dla dam jeszcze dwie jakieś wykwintnie ubrane panie, a z niemi starszego jegomościa w bobrowem futrze, kombinując, że prędzej czy później, wobec braku miejsc, konduktor wsadzi nam pierwszych lepszych z brzegu pasażerów na pozostałe miejsca.

Świst, Trąbka. Odjazd...

Pociąg czerniowiecki sapiąc i szumiąc wytacza się z hali. Przez oszreniałe okna mającą ostatnie domy przedmieść, dachy i długie kominy fabryczne. Potem stojące po bocznych torach garnitury wozów ciężarowych. A potem — świat szeroki, zavalony olbrzymiami zaspami świeżo spadłych śniegów, ziskrzony mrozem, biały i srebrny — aż hej!...

Współtowarzysze podróży obserwują nas od pierwszej chwili z widocznem zaciekawieniem. Wodzą oczyma po naszych impregnowanych kurtkach, czapach zdobnych w aluminiowe kosze złotych okularów, nartach i bez kwestyi imponująco wydętych worach turystycznych.

Damy przez pewien czas pochylają się ku sobie i szepcą widocznie uwagi na nasz temat. Starszy pan kilka razy robi ruch, jakby zapędzał się zaindagować nas o coś, lecz spojrzawszy na idealnie obojętną, niezachęcającą do jakiegokolwiek konwersacji twarz Waygerta, daje spokój i milczy.

Trwa to jednak niedługo.

Twarzyczka młodszej damy raz wraz wychyla się z ponad trzymanej w rękę książki, a wesołe i zaciekawione oczka biegają ustawicznie odemnie przez marmurowo-chłodną, wiecznie zamysłoną fizys poczciwca Starego, ku pochylonej nad ja-kiemś notatkami czarnej czuprynie Stefana.

— Panowie gdzieś w góry?...

Oczywiście! Trudno wymagać dłuższej jeszcze wstrzeźliwości w podobnych wypadkach. Nieodrodna córka Ewy ma przytem buzię tak mile uśmiechniętą.

Siedzący obok Wayget odrywa z widoczną niechęcią oczy od szyb i przenosi je irytująco wolnym ruchem na sąsiadkę. Okrutnie nie lubi „głupich pytań“ na temat turystyki.

— Tak.

— Pewnie gdzieś daleko?...

— Taak...

Chwila milczenia. Dama jednak nie daje za wygraną.

— Do Worochty, czy do...

Nidowicz ratuje sytuację.

— Nie. Jedziemy przez Węgry ku Rumuńszczyźnie. W Centralne Karpaty.

Starszy pan opuszcza gazetę na kolana, przeciera binokle i poczyna patrzeć na nas wzrokiem, jakim się zwykło oglądać ludożerców na wystawach antropologicznych.

— Dokąd panowie jedziecie?!

Waygert zaczyna sapać.

— A jedziemy sobie. No tak... Owszem... Jedziemy do Borsabanya.

— Mamy zamiar wybrać się w góry — łagodzi Stefan. — Na parę tamtejszych szczytów.

— No, dobrze. Ale pocóż tak daleko? Przecież tu bliżej także są góry.

— Otóż właśnie dlatego jedziemy, że tamte są daleko, zupełnie za światem. Gdzie dyabeł do-branoc mówi...

— Rozumiem wybrać się do Zakopanego i tam parę godzin dziennie nartować dla sportu po okolicznych stokach. Przynajmniej mieszka się mniej-więcej cywilizowanie po pensjonatach, jako tako je i śpi. Ostatecznie wygląda to jakoś po ludzku. Ale tam — to musi być chyba dziec zupelna!...

— Oto nam właśnie chodzi. Są to góry całkiem za światem, zupełnie nie cywilizowane, dzikie, a przytem bardzo ciekawe i wcale wysokie. Rodniańskie np. sięgają granicy wiecznych śniegów. Pozatem nikt w nich zimą nie był.

— Więc tak. Torturujecie się panowie jazdą kolejową dniami i nocami, nie jecie i nie śpicie po to, by móc w końcu te olbrzymie wory wy-dźwigać na plecach na jakieś tam wertepy. Do-prawdy; dziwne amatorstwo!

— Takie sobie.

— I teraz w taki czas? Nie, darujecie panowie — nonsens! Myślę z przerażeniem o tem, jakby się tu z dworca do domu dostać, psa by nie wygnał. Na samą myśl znalezienia się w takich potwornych mrozach i zaspach śnieżnych, w ja-

kichś tam zapadłych górach, włosy mogą dębem na głowie stanąć! Proszę — skały, bory, śniegi, mróz — a tu ani się gdzie zagrzać, ani przespać, ani zjeść — brr!!... Nie zazdroszczę...

— Wierzimy.

— I powiedzcie mi panowie, co to właściwie za przyjemność?

Waygert przebiera kurczowo palcami po kolanie i krzywi się niemiłosiernie.

— Szanowny pan pali?

Starszy pan rzuca zdziwione spojrzenie.

— Owszem. Dlaczego pan pyta...

— Niech mi pan będzie łaskaw powiedzieć, co to właściwie za przyjemność? Ja naprzykład nie palę.

— Eh — co za porównanie! Palenie jestto poprostu... ot taki sobie głupi nałóg.

— Otóż, gdyby pan spróbował parę razy turystyki zimowej, jeździłby pan, jak i my, obnosić ciężkie wory po jakichś tam zapadłych wertepach. Poprostu — ot taki sobie głupi nałóg!...





III.

Po słonecznym i mroźnym dniu zimowym następuje zwykle, bożym porządkiem rzeczy, noc wyiskrzona, gwiezdna czy księżycowa wielokroć mroźniejsza jeszcze niż dzień. Zwłaszcza w górach różnica temperatury dziennej i nocnej przy pogodzie bywa bardzo znaczną.

Tym razem jednak mimo wznoszenia się powiatu ku rdzennym łańcuchom karpackim stało się wręcz przeciwnie.

Pod wieczór mróz zelżał. Niebo zszarzało. Po wysokich grzebieniach górskich zadymił się białawe obłoki pyłu śnieżnego młocionego wiatrem.

Jęło kurzyć.

Zrazu drobnem, szklistem igliwem — lodem raczej, niż śniegiem. W miarę jednak zapadania nocy wiatr wzmagął się z chwili na chwilę, chmury kłębiły się coraz ciemniej i posępniej. Aż wreszcie o szyby wagonu załopotąła miśriadem oszalałych skrzydeł huraganowa zamieć.

Rozhulało się na dobre.

Wicher wył i zawodził. W zawrotnym wirze gnały w przestrzeń olbrzymie, białe, rozpasane fale, grzebiąc góry i bory zaspami parumetrowych wydm i lawie śnieżnych.

Nad ranem mineliśmy granicę węgierską.

Pociąg staczał się z opancerzonych lodem przełęczą karpackich w zawody z szalejącym orkanem w głąb przepaścistych dolin marmaroskich. W półświatle brzasku i tumanach śniegu, pędzonego wihrem, majaczyły sennie blade zarysy niebotycznych wierchów. Grupa bliźniacka, pasma czarnohorskie, potem rozliczne grzbiety marmaroskie, puszcze odwieczne, tajemnicze światy gór, skał i borów aż po daleką hen gdzieś Rumuńszczyznę.

W Vissovelgy, przed małą, węgierską stacyjką oczekiwał nas zamówiony przez Stefana Rumun borsañski z parą niezłych koni, baranicą i saniami o szerokich płozach. Sterczał nieruchomo na peronie w olbrzymim kozuchu, czarnej czapie i czerwonych, włóczkowych rękawicach, z fajką w zębach i batem za pazuchą — wysokie, chude chłopisko, podejrzliwie przyglądające się nam z pod siwych, szronem obrosłych brwi i skudłaczonej grzywy. Widocznie przyjechał na zlecenie borsañskiego notara jeszcze przed wieczorem do Vissovelgy, gdzie go dopiero zaskoczyła zamieć. Inaczej z pewnością nie byłby się dał wciągnąć w tak ryzykowne przedsięwzięcie.

Z miejsca też rozpoczął z nami targi, mruczając



Szałas pod Prislopulni.

jakieś ponure, ale niezupełnie dla nas zrozumiałe argumenta w dyalekcie rumuńsko-huculskim, przeplatane wymownymi gestami w kierunku szalejącej zamieci. Uspokoił się dopiero po naszych solennych zapewnieniach, że w razie rychłego dotarcia do Borsy otrzyma odpowiedni naddatek i że pozatem nie ma powodu traktować nas tak wrogo, gdyż „*sintem Lesz*“, jesteśmy Polacy, a nie żadni „*Magyar*“ z Pesztu czy Sigetu. W stosunku bowiem do Madjarów odnoszą się rodniańscy i transylwańscy Rumuni z zacięłą nienawiścią, co w czasie naszych wypraw w te strony niejednokrotnie przez pomyłkę na własnych niestety skórkach zdarzało nam się odczuć.

Ostatecznie zapewnienia nasze i paczka tytoniu do fajki zrobiły swoje. Rumun przestał mruzczyć, tytuń łapczywie schował, wybąknął nawet z pewną rezygnacją swoje „*mulcumesk*“ — dziękuję, no i okryci, jak się dało łataną baranicą, ruszyliśmy ostro na wschód w górę rzeki Visso.

Szalejąca całą noc wichura przycichła nieco około południa, zamieć zrzędła, wypogadzało się widocznie.

Z ponad opadających zwolna tumanów śnieżycy jęły wylaniać się raz po raz białe, błyszczące słońcem, dalekie majaki potężnych zwałów górskich, dymiące oparami, wyolbrzymiałe w ramach sinych mgławic, osleplające kontrastem oświetleń, widmowe prawie, groźne a wspańiałe.

Wynurzały się nagle z prawej lub lewej strony, z tyłu lub z przodu, coraz częściej, zrazu na

krótki moment, niby dziwaczne, nieprawdopodobne wizje na ekranach srebrnych fal śniegowych, potem coraz to dłużej i wyraźniej. Fałta Morgany czy sny czarodziejskie, przepyszne zgoła w subtelnym rysunku na tle wyłaniających się z za mgieł błękitów spłomienionego, słonecznego nieba.

Złote smugi blasków rozmigotały się po sinych śniegach. Zagrały luną skrzących przyzm lodowych ciężkie okiści drzew zawianych burzą, ławice wydm olbrzymich, nasypiska śnieżne, dolina wreszcie cała, bory i urwiska i wierchy groźne majestatem zimy.

Opanowała nas beztroska cicha, niekłopotliwa o wczora i jutro, pochłaniająca przedziwnym nastrojem ziskrzonych słońcem śniegów.

O hej...!!

Biała, szeroka dolina! Białe, podniebne góry! Białe, cudowny świat! Jak okiem spojrzeć, słońce jeno i śniegi i strzępy złotych mgieł po wyżach kędyś.

Nie to, że po tych wyżach w otchłaniach śniegowych, w zaspach potwornych, wydmach i nawisach śmierć się zezaiła zdradnie! Że mimo południa mróz tężał, w miarę opadania wichru, coraz złowróźbniej. Że zadymka nocna zawiązała morzem zasp i ławic śnieżnych świat cały wokół. Że konie z mozołem krok w krok się wlokły nieutartą drogą, po brzuchy grzęznąć w śniegach. Że dzień tak krótki w lutym. Że do Borsabanya tak dziwnie... daleko..



IV.

Z nastaniem mroku Stefan pierwszy począł się niepokoić.

Gdyśmy minęli Wyszów (Falso-Visso), małe miasteczko górskie u wylotu doliny Valea Riu Vaser, posuwanie się naprzód mimo dłuższego odpoczynku koni komplikowało się coraz bardziej. Co parę minut trzeba było przystawać, szukać z latarnią zawianego traktu, wyciągać konie z zasp.

Mimo przechwałek Rumuna, jeszcze w Velgy, że najdalej *tre czasur dupe amiaze*, t. zn. o trzeciej popołudniu będziemy w Borsy, mijala czwarta i piąta, a my wlekliśmy się ciągle noga za nogą przez niezmierzone zwały wydm śniegowych, bez końca w ciemność i mróz i bezdroże.

Chwilami grunt stawał się twardszy.

Znużone konie zrywały się jakimś rozpaczonym wysiłkiem. Dźwięczały żwawiej dzwonki u chomontów, echem się niosąc gwarnem po ostępach zastygłej w śniegach puszczy.



Hala na Cataramei.

A potem znowu cisza.

Gasł tętent, milkły dzwonki, koniska grzęzły
wyżej brzuchów w zaspie.

I wiecznie ten sam uparty, zniecierpliwiony,
cichy głos Stefana —

— *Ket de departe* — jak daleko jeszcze —
pene la Borsa?... Do Borsy czy Moysciu...

I wiecznie tasama uparta odpowiedź.

— *Nu, nu departie...* *domnilor!* — już nie-
daleko...

Nad nami skrzyły się posepnie czarne otchła-
nie gwieździstego nieba. Osypiska śnieżne grały
migotem spylonego srebra po zboczach górskich
i nawiejach leśnych. Mróz potęgował się z chwili
na chwilę.

Nadeszła noc złowroga, mroźna, bezlitosna —
podbiegunowa noc w karpackich debrach.





V.

W sinych otchłaniach śniegu, zamigotały wreszcie drobne, pelgające skry dalekich światel.

Borsa!...

Nareszcie. Długi szereg domów z obu stron gościńca. Kręcone słupy ganków typowo rumuńskich. Dachy obwisłe lodem, przywalone śniegiem. Wpółzasypane ściany. Czarne, ośleple okna. Gdzieniegdzie zaledwie pobłyski światel w oszretniałych szybach.

W starym zajeździe świeciło się jeszcze.

Rozsiadliśmy się w izbie jasnej i ogrzanej, ściągawszy kurty zeszywniałe mrozem, czapy obwisłe szronem, szkła i rękawice.

— Jeść!...

Waygert wyszukał sobie stary fotel w kącie za szafą, rozsiadł się wygodnie i nie czekając na kluski i zupę, wylał z termosu ostatki herbaty do pierwszej lepszej szklanki i popijał zwolna.

Byliśmy potężnie głodni, zmarznięci do szpiku kości, znużeni i wściekli każdy na swój sposób.

Trzeba było koniecznie coś zdecydować.

Nidowicz z pasją klócił się z woźnicą, który oczywiście za żadne skarby nie chciał dalej jechać.

— No — niema rady. Ten ma dość.

Waygert flegmatycznie zajadał się w kącie.

— POCO ty tyle gadasz? Nie znajdziesz chyba durnia, któryby po nocach tłukł się do Banya. W taki czas.

— Więc co?...

— Nic. Przenocujemy.

— Niby... gdzie?

— Tu. W Borsy.

Nidowicz spojrział na mnie desperacko.

Summa summarum wtorek dyabli wzięli! Luty. Dzień krótki. Trojaga wymaga najmniej dzie więciu do dziesięciu godzin tego marszu w podobnych warunkach. Trzebaby ruszyć z Banya skoro świt. Albo dać spokój jutro. Stracić dzień daremnie. Pojutrze chyba —! Ot pech...

Opuścił smętnie głowę.

— I właściwie... pomyślcie. W piątek muszę wracać. Stary też. Wtorek Trojaga. Środa, czwartek, piątek Alpy Rodniańskie. Ergo — niema innego wyjścia, tylko albo zaraz iść do Borsabanya, albo też Trojagę wykreślić z tury. Ot co. Decydujcie...

— Ruszyć? niby jak?...

— Jak? Wory na plecy, narty na pedały — i marsz! Niespełna dziesięć wiorst.

Machnąłem ręką.

— Późno! A poza tem drugą noc nie spać...
Ani się śni!...

— A no, to siedzmy.

W milczeniu jedliśmy kolację. Nastrój spospętniał do reszty. Nidowicz z desperacyi zamówił sobie wino.

— Skoro idziemy spać, mogę się napić.

Wyciągnął z worka puszkę z biszkoptami.

— Psiakrew! Trojaga.

Biedak nie mógł stawić zmiany programu.

— Ot — z miejsca pudło! Ładnie się zanosi.
Niema co gadać...

Waygert z namaszczeniem podniósł się z fotela.

— Dlaczego właściwie nie mielibyśmy iść? Trojaga, hm — Stefan ma rację. Szkoda by było. Może być.

— Żle! — pomyślałem. Wprawdzie i mnie było ciężko na sercu. Lecz — mój Boże — nonsens! Dwie bezsenne noce. W takich warunkach. Śnieg grzązki. Mróz — conajmniej dziesięć godzin tury. Nonsens! Czysty nonsens!

— A więc wyścigi!

Stefan się obruszył.

— To znaczy — nie chcesz? jeśli nie ruszymy natychmiast z Borsy Trojaga przepadła.

— A pozatem — wtrącił spokojnie Waygert — cała gadanina o najem sani była poprostu idjotyczną brednią. Ledwieśmy traktem dowlekli się wreszcie z Velgy do Borsy. Cóż dopiero gadać

o dalszej jeździe. Nocą. Po wertepach. Bystro pod górę. Zwykłą górską drogą — Osieł bo osieł — ale w tem ma rację, że trzeba iść. Szkoda Trojagi. Za dwie godziny możemy spacerkiem dotrzeć do Banya. Odjazd!..

Nie próbowałem nawet opozycji.

— Pierwsza. Za kwadrans wymarsz!

Jeliśmy się zbroić. Sprzęt turystyczny znalazł się piorunem z powrotem w workach. Ku przerażeniu gospodarza domu, ponaciągaliśmy narciarskie kurty, czapy norweskie, szale, rękawice —

— Panowie — dokąd?

— A no... czas nam w drogę. Do Borsabanya.

Wytrzeszczył głupawo zdumione oczy.

— Dokąd? Wolne żarty. Przygotowałem już łóżka dla panów.

— *Mulcumesk!* Bardzo panu 'dziękujemy, nie skorzystamy jednak. Mamy zamiar wyjść na Trojagę. Więc musimy zaraz ruszyć do Banya. Tam spoczniemy trochę i jazda! — w góry!..

Rumun podejrzliwie jął się przyglądać narciarzom i plecacom, siląc się przejrzeć istotne zamiary bądź co bądź dziwnych gości.

— Szkoda chodzenia. Lepszego zajazdu nie ma. Prześpicie się panowie dobrze. Łóżka gotowe.

— Dziękujemy panu, nie nocujemy w Borsy.

— Proszę zobaczyć tylko. W piecach napalone, szkoda fatygi włożyć się daremnie.

— Bardzo wierzymy. Nie rezygnujemy wcale z pańskiej gościny. Poprosimy pana o przechowanie nam zbędnych przedmiotów do pojutra rana.

Musielibyśmy je wlec niepotrzebnie w góry ze sobą. W środę, wracając, zaglądnijemy po nie.
Bine †

— Najchętniej. Ale nie żartujcie — dokąd panowie chcecie iść?

— Do Borsabanya.

— Teraz po nocy? W taki mróz?

— Drobnostka. Przyzwyczajeni jesteśmy do mrozu. Ciemno nam również nie będzie, mamy latarki.

— No — ale śniegi! Orkan zawiał drogę, że ani śladu. Widzieliście przecież, jak trakt wygląda, cóż dopiero droga do Borsabanya! Przejść ani mowy.

— Widzi pan te deski? Ręczymy panu, że za dwie godziny będziemy w Banya.

Popatrzył nieufnie na nasze narty.

— Choćby nawet. I tak panowie nigdzie nie pójdziecie.

— Dlaczego?

— Wilki.

Parsknęliśmy śmiechem.

— Chce pan nas straszyć, co? Niema obawy. Mamy browningi zresztą.

Szynkarz podniósł się z godnością.

— Proszę wybaczyć, ale wiem co mówię. Od tygodnia włóczą się stada wilków w Riu Vaser, Valea Cisla i bliższych dolinach pod Petrosulem. Podchodzą prawie do chat. Wczoraj wieczór zabiły krowę w Borsy. Ot tu niedaleko, czwarty dom w prawo. Są wprost postrachem całej oko-

licy. Obowiązkiem moim jest przestrzec panów. Proszę się zresztą spytać kogobądź — parę dni temu wracał wieczorem żandarm z posterunku. Głupie dwie wiorsty. I cóż — na przysiółku opadły go wilki. Ledwie miał tyle czasu, by uskokczyć ku jakiejś chacie. Chłop jednakże ujrzał przez okno żandarma madziara i ścigającą go zgłodniałą zgraję, lecz, jak panowie wiecie, nie pilno mu było ratować Węgra, żandarma w dodatku. Zatarasował drzwi i zwiął po drabinie na strych. Niby, że chata pusta. Żandarm w progu nie mając czasu strzelać, przez kwadrans może bronił się bagnetem, póki nie przyszła pomoc...





VI.

Ostatnie błyski światła zginęły za nami w sonej topieli śniegów.

Droga wznosiła się powoli w górę wzdłuż Riu Cisla, przewalającej się z głuchym łomotem pod pancierzami lodu i nasypisk śnieżnych. Świat cały wokół zdawał się migotać miriadem błędnych skier i pryzm drobniuchnych. Lśniły się srebrem białe kiście smreków i mroczne wydmy wyiskrzzone mrozem i gwiezdna otchłań nieba..

Ponad doliną majaczyły sennie obłoczne kędyś wierchy. Z sonej bezdni nocnej od skał podniebnych i pomierzchłych śniegów martwota wiała i pustka bezbrzeżna.

W blasku latarek posuwaliśmy się pośpiesznem tempem wydmyami śnieżnymi ponad potokiem.

Z drogi ani śladu.

Niepokalana biel olbrzymich ławic, świeżo nawianych wiatrem, puszysta i grząska, kryła za-

stygłem morzem śnieżnych fal całą dolinę po brzegi borów i ostępów górskich.

Mimo nart, brnęliśmy powyżej kostek. Wedle zasady szliśmy pojedynczo jeden za drugim w odstępach mniejwięcej dziesięciu kroków. Idący przodem w podobnych wypadkach grząskiego śniegu tnie „śląd“ czyli pruje z pewnym mozołem utrzymując tempo zaspy przed sobą, inni zaś z łatwością suną zrobionym śladem tuż poza nim. Po pewnym czasie zamienia się miejsca, by zbyt nie męczyć przodownika marszu.

Tym razem jednak poszczególne miejsca miały specjalne jeszcze przeznaczenie. Nie przeraziliśmy się wprawdzie zbyt opowieściami hotelarza z Borsy, lecz zaniechanie pewnych ostrożności istotnie byłoby lekkomyślnością.

W czasie naszych wypraw w puszcze karpackie, zdarzało nam się nieraz spotykać niedźwiedzie, rysie lub dziki. Jednak stada wilków głodne i zażarte, zapędzające się głęboko w niże aż po sałydyby ludzkie z braku żeru, były bezsprzecznie ewentualnością wcale niemiłą.

Ustanowiliśmy porządek marszu zastosowany do okoliczności. Pierwszy miał baczyć wprzód, drugi na boki, trzeci krył tyły, co było zadaniem wcale nie tak łatwym, jak się okazało.

W niespełna bowiem w kwadrans po wymarszu z Borsy dwa brązowe strzały, łomocące echem po zboczach górskich zaryły nas w miejscu.

Wilki??...

Szedłem w środku, Waygert zaś przedemną.



Nawis śnieżny nad Przełęczą Miraską.

Obaj zwróciliśmy się błyskawicznie w kierunku strzałów i oto w skąpym poblasku latarek zarysowała nam się ciemna postać z dymiącą bronią w ręce.

— Stefan — zwarjowałeś? — ryknął zdumiony Waygert.

W głuchej pustce bełkotał jeno potok i z cichym sykiem osypywały się okiści z jodeł. Jak okiem sięgnąć wilków ani śladu.

Nidowicz sterczał z arcygłupią miną na środku zasy.

— Pomyślcie tylko — począł się tłumaczyć.— Idę sobie z tyłu, aż nagle słyszę skowyt. Raz, drugi i trzeci. Całkiem wyraźnie. Odwracam więc głowę i widzę nagle w poświtle latarki szary, trójkątny łeb tuż nad ramieniem. Jakże nie było strzelać?...

— Ha! ha! — huczał Stary. — Strachy na lachy.

Cóż się okazało? Pasy przy workach stęzały na kamień i za najmniejszym ruchem skrzypiały nieznośnie, co przy olbrzymim mrozie na tle bełkotania wody w potoku brzmiało bezsprzecznie wcale tajemniczo. Nidowicz mając uszy zasłonięte czapą norweską, wziął ów dziwny odgłos za wycie wilka, a odwróciwszy się, w niepewnym blasku swojej latarki ujrzał... zeszywniałą, otwartą klapę kieszeni u worka, wyzierającą mu z ponad ramienia. Więc oczywiście wypalił na oślep wstecz raz i drugi w przekonaniu, że ma za sobą wilka.

Po tym epizodzie szło nam się jakiś czas weselej nieco.

Waygert zjadliwie pokpiwał sobie z przygody Stefana, Stefan zaś bronił się jak lew.

— Dowiodłem tylko szybkiej orientacji. I to coś warte. Odwróciłem głowę — wilk. Wypaliłem błyskawicznym ruchem.

— A stado znikło, jak dym! — szydził Waygert. — No, nie dziwota — magik!...





VII.

Po godzinnym marszu jęła ogarniać mnie nieznośna senność. Poprzedniej nocy drzemaliśmy wprawdzie jakichś parę godzin, trudno to jednak było nazwać snem.

Na razie — przy świeżych siłach i niedalekiej stosunkowo mecie nocnego marszu, nie zaprzętałem sobie zbyt głębię rozmyśliwaniem nad tem, co by się mogło stać, gdyby, na przykład, mróz był o parę stopni większy, tura dłuższa, my zaś cokolwiek bardziej senni i znużeni. Lekceważyłem zdradliwą potęgę, która nam zeicha zagłędała w oczy, niby memento nieme, groźne a straszliwe.

Okolo trzeciej stanęliśmy w Banya.

Osada spała, zawalona śniegiem, cicha i nikła wśród olbrzymich stoków Verfu Trojagi.

Z zagród przydrożnych przywitał nas skowyt sfory rumuńskich psów rasy owczarskiej, dużej i zajadłej, które nam nieraz dały się we znaki

w czasie wędrówek letnich. Trzymane bowiem całemi zgrajami przy szałasiskach pasterskich po halach, atakowały z dziką zażartością przybyszów obcych, tak, że parę razy zmuszeni byliśmy bronić się na serjo, póki Rumuni, przyglądający się zwykle zdaleka napaściom swoich psów na niezajomych pod presją strażów, nie raczyli wreszcie interwenjować.

Po małych trudnościach znaleźliśmy w końcu jakąś gospodę, pozamykaną szczelnie, która dopiero po bardzo dobitnych a hałaśliwych naleganiach naszych, zdecydowała się uchylić rąbka gościnnych swoich wnętrzy.

Z poza drzwi okutych ozwał się bowiem po licznych i mocnych kopnięciach kutych butów, zirytowany głos starej kobiety, deklamującej w ńście brawurowym tonie, z nieporównaną chyżością i dykcją, potężne jakieś tyrady *con brio*, bardzo zapewne szczere i wymowne, lecz niezupełnie dla nas zrozumiałe z powodu gwary karpacko-rumuńskiej.

— *Sintem Lesz — Poloni* — proszę otworzyć! Chcemy przenocować. Płacimy zaraz. *Pen-tru platim...* Gdy nie otworzycie, drzwi wyłamiemy.

Ostatni argument, poparty zresztą przekonywującym kopnięciem w ścianę, szybko rozstrzygnął kwestję.

Waygert pierwszy wtargnął do środka.

— Chcemy gdzieś przespać! — zahuczał na

wstępie potężnym basem, dudniącym dobitnie w kątach pustej sieni. Macie tu pieniądze.

Widok banknotów usposobił babę nieco przychylniej.

— Pewnie na robotę idziecie w góry, he? — spytała grzeczniej, grzebiąc palcami w rozczochranej głowie i przyglądając się workom narcyarskim.

Do takich pytań przywykliśmy dawno. Ludziom tym trudno było wytłumaczyć, żeby ktoś mógł się włóczyć tygodniami po debrach górskich nie za zarobkiem, lecz dla przyjemności. Nie chcąc uchodzić więc za koniokradów, którzy bandami grasują po lasach na Wołoszczyźnie, podawali się za robotników przy wyrębach drzewa lub trasowaniu dróg.

— Tak. Idziemy rano na Stanalui. Mamy za ledwie trzy godziny czasu. Gdzieżby tu można przespać?

— Niema gdzie. W alkierzu dzieci. W izbie we troje śpimy. W szynkowni chyba —

— Dobrze. Wszystko jedno.

— Ale tam mróz.

— Cóż robić? Dacie nam parę koców. Zapłacimy zaraz, nie obawiajcie się.

Rozlokowaliśmy się w zimnej izbie po ławach w kątach, jak kto mógł. Znużonym i śpiącym niewiele trzeba — byle dach nad głową.

W słabem półświecie zakopconej lampki skrzyły się sine, osędziałe hafty mroźnego szkliwa po czarnych taflach szyb. Z kątów wyzierał

chłód i brud i wilgoć i przykry odór starych beczek z piwa.

— Brrr!... Zachęcająco niby nie wygląda wszystko to razem — zajęczał Nidowicz, wodząc dokoła posepnem spojrzeniem. Z pięć stopni mrozu minimum, co Stary?

— Ciesz się, że tak — odburknął Waygert.— Kwadrans po trzeciej. Spać! O siódmej wymarsz.

Nidowicz ani drgnął. Sterczał bez ruchu na środku szynkowni, niby dziwaczny jakiś, zaśnięty pomnik. Widocznie utknał po drodze plecami gdzieś w jakiejś zaspie, gdyż od stóp spowitych w ochraniacze śnieżne aż po zsuniętą na nos granatową, norweską czapę, bardziej był biały, niżli żona Lota, po zamienieniu się w kolumnę soli. Śnieg na nim skrzył się, ani myśląc topnieć w temperaturze izby. Z przodu głowy czapa pokryta była koronkami skrzepłej w piekielnym mrozie pary przy wydechu. Wyglądał tedy naprawdę magicznie.

— Cóż ty? Zamierzasz może do rana tak sterzeć, co? — spytał go Stary.

— Nie mam odwagi — zakwilił żałośnie skostniały Magik.— Zaraz się rozbiore. Chwileczkę jeszcze.

Zionąc kłębamii pary z ust i nosa, stał jeszcze jakiś czas na środku izby, zgięty we dwoje, z workiem na ramionach i obwisłymi ku ziemi rękoma, wpatrzony w ławę w kącie, kędy Waygert z nieporównaną iście pedanterją zdejmował

z siebie części garderoby, starannie czyścił z lodu i układał jedno za drugim na poręczy stołka.

Nagle załomotało coś w pustej szynkowni.

Podniosłem głowę z ponad legowiska, jakie usłałem sobie za kantorem i oniemiałem.

Nidowicz zwarjował.

W chwili, gdy Waygert złożywszy ubranie, włożył spokojnie w swój worek do spania, zniechęcony w rozpaczliwej pozie na środku izby Magik przymknął oczy, zacisnął zęby, schylił głowę, podniósł ramiona i szalonym rzutem skoczył na ławę, z ławy na stół, ze stołu na kantor, z kantoru znowu na stół i tak w koło. Huk przewracanych ław, beczek i stołków zmieszał się wkrótce z dzikim jakimś rykiem.

„Tańcowałbyk kiebyk mók

Kiebyk ni miół ksywyk nók

ej...!

Szalona nuta zbójnickiego tańca absurdem jakimś zdała się przelecieć tysiące wiorst z dalekich kędyś Tatr ku tej zapadłej karczemce rumuńskiej.

Przetarłem oczy. Wrażenie było istotnie niezwykłe.

Ej — ha!... zbójnicki...

Skoczył ze stołu, przysiadł błyskawicą, śmignął czekanem w młyniec ponad głową i jak stallowy pręt wytrysnął nagle z ziemi ku górze na sprężonych nogach.

— Stef... oszalałeś!? — wrzasnął wreszcie Waygert. — Fijolaś polknął!!?..

— Rozbieram się tylko — ryknął w przelocie ponad jego ławą tańczący Magik.

On zaś istotnie tylko się rozbierał.

Z huraganowych kręgów, z wiru tańca, skoków dziwacznych, młyńców i przysiadów chybną powietrzem wyrzucony nagle odśrodkową siłą wór turystyczny, za nim rękawice, potem norweska czapa.

Oswobodzona z zaśnieżonej czapy ciemna czupryna rozwiła się w pędzie zawrotnych skoków. Oczy mu się skrzyły. Twarz wygolona promieniała życiem, fantazyą młodą, szeroką a dziką.

„W murowany piwnicy
Tańcowali zbójnicy
ej...!”

Takt śpiewki łomotał rytmicznie z hukiem obcásów, bijących wściekle, niby młot olbrzymi, w deski podłogi.

„Kazali se piknie hrać
I na nożki pozirać
ej...!”

Z rozmachem dzikim kurczył się, prężył, przysiadął i skakał, zrzucając z siebie z niezwykłą zręcznością coraz to inne części garnituru. Śmignęły tedy ochraniacze śnieżne, kurta narciarska, szal i kamizelka, potem kamasze.

Ogłuszający łomot zbójnickiego pobudził śpiących mieszkańców gospody.

— W chwili, gdy Stefan *zwyrtał się barz piknie* w jednym już tylko bucie i koszuli, przez uchylone drzwi wyjrzały nagle różne kalibry rozczochra-nych, czarnych, mniejszych i większych głów z rozdziałwionemi szeroko gębami.

— Co się tu dzieje? — spytała lękliwie stara Rumunka. — Co on wyrabia? Upił się?

— Et — nie strasznego! — odburknął z kąta Waygert. — Tylko się rozbiera. Nie obawiajcie się.

Drugi but świsnął pod sufitem kędyś i wyrznął w blachę kantoru przy wejściu.

Nüdowicz skończył swoje rozbieranie.

Kocim podskokiem chwycił porzucony wśród tańca plecak, rzucił go na ławę, wyciągnął wór do spania i w jednej sekundzie utknął w nim po szyję.

— Nieźlem się zagrzał — sapnął, wyrzucając olbrzymie kłęby pary z ust otwartych. *piknie, co cud!* A dajcie stara koce, bo zmarzniemy.





VIII

Mimo znużenia i nieprzespanej uprzednio nocy, zbudziłem się jeszcze przed szóstą, skostniały z zimna, które kpiąc sobie z mego przewybornego pleda i berberowego wora do spania, zmieniło mnie w ciągu tych trzech niespełna godzin w coś w rodzaju manekina o zeszywniałych członkach i zielonej od mrozu twarzy.

W izbie było zupełnie ciemno i grobowo. Z ką-tów jeno od ław, z pod pieca, dyszały ciche i nie-spokojne oddechy obu moich towarzyszy.

Miałem jeszcze nieco czasu. Jąłem tedy pró-bować okryć się jakoś lepiej i zasnąć. Obracałem się w prawo i lewo, na wznak i nosem do wora, podciągałem kolana pod brodę, otulałem się wre-szcie na różne sposoby pledem i kurtką — wszyst-ko nadaremnie!

Szczękając zębami, wyskoczyłem z wora z po-stanowieniem rozniecienia ognia za wszelką cenę.

W parę sekund części mego narciarskiego gar-

nituru lokowały się na mnie z isticie niepojętą chyżością. Odziewszy się jako tako, rzuciłem się w stronę pieca z błogą nadzieją znalezienia choć paru szczap paliwa.

Niestety!

Piec był zdemolowany, bez rusztu i drzwiczek, drzewa również ani śladu.

Brr...!

Pomyślcie tylko — pusta, zimna, ciemna szynkownia i ten piec nawpół zburzony i ta świeczka na połyskującym od szronu stole i te wyiskrzzone, osędziałe lodem, łatanne szyby w oknach i taka djabła senność i znużenie i przemarznięcie aż do szpiku kości!

— Jazda, ojcowie, wstawać! — huknąłem ku ławom.

Waygert podniósł głowę. Przetarł ręką oczy i począł szukać zegarka pod workiem.

— Dziesięć do szóstej. Jeszcze czas — zamruczał.

— Ależ, do licha, zimno! — wstawaj stary! — trzeba zapalić w piecu.

— To pal! Ja się jeszcze zdrzemnę. Wcale mi nie jest zimno.

Ostentacyjnie ziewnął i nakrył głowę derą.

Ruszyłem tedy w przeciwny kąt izby.

— Stefan! po szóstej — wstawaj! raz, dwa! — huknąłem w ucho zwiniętemu w kłęb Nidowiczowi.

Przerażony Magik zerwał się gwałtownie na równe nogi.

— Co!?!... jak!? co się stało?... czego ty chcesz? — mamrotał szybko, nawpół zrozumiałym, zaspanym bełkotem. Dygocąc z zimna, wodził w koło siebie wzrokiem lunatyka.

— Czego się gapisz? Zbieraj się, już późno! — Mechanicznym ruchem, niezbyt przytomnie, począł wciągać buty, spodnie i kurtę. Zrazu w milczeniu, potem sapiąc głośno, wreszcie klnąc.

Nidowicz budził się powoli, lecz oczywiście.

— Tfu! — do stu piorunów! Cholera jakaś z mrozem. Czort bery!! — wybuchnął wreszcie. — Djabli nadali! Sakramenckie spanie, kości nie czują...

Spojrzał w stronę pieca.

— I drzewa niema — splunął z irytacją. Czem ty chcesz palić?

— Trzeba zbudzić starą. W ostateczności polamiemy ławy.

Skończył pośpiesznie swoją garderobę i desperacko rozglądał się wkoło.

— Ani kawałka. Ot — pech...

Urwał nagle, spojrzawszy w stronę śpiącego Waygerta, który zwrócony plecami ku izbie, chrapał w najlepsze.

— Patrzcie! Dobry sobie. Dmucha, jak wielbłąd! — Hej! Stary! zamarzniesz! Wstawaj!

— Daj mu spokój. Niech śpi. Czy nie wiesz, że ludzie z tak zimną krwią jak Waygert nie boją się zimna?

— Ha — to niech śpi! Każda minuta nadprogramowa będzie go kosztować conajmniej deko

nadprogramowego ciężaru w worku. I tak jest przecie silny jak wielkolud, skoro się jeszcze wyśpi dłużej od nas, może podźwigać więcej. Równe szanse! No, nie?

Wyciągnął dwie puszkki sardynek ze swego worka.

— Takie dwie puszcзки niewiele ważą. Można mu a cento wsunąć nieznacznie na spód kataryny. Ani spostrzeże.

Waygert się poruszył.

— Możeby ciszej! — zamruczał złowrogo w stronę Stefana.

Magik się zaperzył.

— Widzisz go? — Pędzlarz! Jaśnie pan! Możeby ciszej — Ha ha!!... Za to spanie podźwigasz sobie, synku.

— Co?

— Te dwie puszcзки.

— Ani się śni. Dlaczego?

— Za opóźnienie. Po starym zwyczajju. Każda minuta nadprogramowego snu kosztuje deko. A ponieważ my już conajmniej od dziesięciu minut.

— Mów mi wuju! — przerwał mu Waygert. — Pokpiłeś kochanie. Chciałeś mi zrobić kawał, a tymczasem tobie zrobiono kawał! Ot co —

Flegmatycznie wyciągnął swoją genewską cebulę.

— Jeszcze minutek pięć. Jak wiadomo postanowiliśmy wstawać o szóstej. Ergo — złam kark! Dobranoc.

Nidowicz zaklął po swojemu, rzucił Staremu niedobre spojrzenie i z pasją kopnął szynkwias.

Lomot blachy zahuczał głośno w pustem wnętrzu izby, plosząc po kątach przemarznęte szczury.

— *Buna seara!*...

W przyległym alkierzu podniósł się lament przerażonych dzieci i bohaterski dyszkant starej baby.

— Co tam!? O Boże — wszystko rozbijają! Ratunku!!... ludzie!!...

— *Si bun...* jeśli łaska — odwrzasnął magik — drzewa!... trochę drzewa!! Choć parę polan. Trzeba palić w piecu. Nie wyj-że babo! no, już...! drzewa mówię — raz, dwa!!!

Lament ustał, wszczął się natomiast ruch i bieganina w przyległej sionce. W drzwiach ukazała się wylękła postać starej rumunki.

— Już palę, *domnilor...* — jęknęła z cicha w świętem przekonaniu, że ma za gości szajkę koniokradów z gór Kelimeńskich. Zaraz wszystko będzie. Nie trzeba gwałtu.

Stefan się uśmiechnął.

— Poskutkowało, co? Czekalibyśmy inaczej do rana na rozpalenie. Trzeba umieć gadać z tymi dobrymi ludźmi!

Stara kobieta poczęła się krzątać z dziwnym pośpiechem koło rozwalonej, brudnej kuchenki. Widocznie Stefan przeraził ją serjo swą filipiką huculsko-rumuńską.

— Nie obawiajcie się, płacimy „*pentru*“ —

ozwał się tonem uspokajającym, widząc nieufne spojrzenie szynkarki.

W niespełną parę minut pod dziurawą blachą buzował gwarnie ogień, siejąc wkoło rozkoszne smugi ciepła. Mała kuchenka pokryła się wkrótce okazałą liczbą naczyń turystycznych z kondenzowanym mlekiem, kawą i buljonem.

Kwadrans przed siódmą byliśmy gotowi do wyruszenia. Pozałatwialiśmy rachunki z babą, popakowali wory, opatrzyli narty i dalej w drogę!

Dniało.

Olbrzymie wydmy i ławice śnieżne leżały wokół senne i milczące w sinych refleksach seledynu nieba.

Wieś jeszcze spała...

W przywalonych śniegiem chatach rumuńskich pozawierane szczelnie drzwi i okna dyszały ciszą i martwością głuchą, czyniąc wrażenie polarnej osady.

Mróz potęgował się przerażająco.

Po wyjściu z izby, w której, jak wiadomo, wcale nie było ciepło, mroźny żar powietrza wprost oszołomił nas. Najłżejszy oddech wżerał nam się w piersi miliardem igieł ostrych i piekących.

Na termometrze z istotnem zdumieniem skostatowaliśmy 40 stopni C poniżej zera!

— Gotowo!? Odjazd!! — zakomenderowałem.

Skrzypnęły pasy norweskich wiązań, zgrzytnęły ostrze stałą kutych kijków, zaskwierczał śnieg na pustej borsabańskiej drodze.

— Żegnaj kulturo, co wznosisz dachy nad głowami ludzi w głuchych ostępach puszczy marmaroskiej! Żegnajcie lawy i piece zwalone! Śniegi przed nami jeno i bory odwieczne i spancerzone lodem złomy skał i pustka wraża wyżyn podobło-
cznych! — — Nie ulękniemy się posepnej grozy królestwa twego, zdračna Pani Śnieżko! Nie powstrzymają nas ni wydmy sine, ni mróz dławiący, ni spadziska lawin, ni śmierć zezajona po otchłaniach skalnych!...

Ostatnie domy borsabańskiej wioski ginęły zwolna w dali poza nami.





IX.

Ośma godzina.

Wierch Vrf. Prislopu. Tysiąc trzydzieści metrów nad poziomem.

Pod nami długi i łagodny upłaz ostatnich stoków południowej strony pasma Trojagi.

Trzysta metrów niżej wieś Borsabanya. Biała smuga drogi. Z obu stron gościńca szereg małych domków, ledwie widocznych z pod nawisów śnieżnych.

Dolina Cisli drzemała spokojnie w sinych mgławicach oparów porannych.

Zawiane bory wydęte śnieżycą, zasypane olbrzymie, wydmy i nawieje grały łunami zémionych barw pryzmowych, niby dalekie, fosforyzujące seledynami półświatlnych refleksów Fata Morgana wśród pustyni śnieżnej.

Nad spowitą jeszcze w porannym mroku doliną ciskańską wstawało kędyś z poza gór obłocznych złote kolisko słońca.

Okoliczne szczyty zdały się płonąć na ciemnym tle nieba oślepiająco migotliwym blaskiem ziskrzonych pól lodowych. Żółty płomień ogarniał zwolna coraz bliższe wierchy, od trójgraniastej kopuły Trojagi przez Verfu Ghilu po Cataramei.

Szliśmy w milczeniu zwyczajem narciarskim, jeden za drugim, brnąc w miążkach nasypach niezsiadłych jeszcze śniegów.

Od Prislopului szlak nasz podniebny ciągnął się grzbietami południowego ramienia Verticu stromą, urwisto wznoszącą się granią, siedm wiorst długą, przez wierch Stanalui ku rdzennej masie trojaskiego szczytu.

Z tyłu za nami jęła się wyłaniać z sinych mgławic rannych majestatyczna grupa Alp Rodniańskich.

— Stop!

Metaliczny szum nart po igliwiu szeleszczącego przy olbrzymim mrozie śnieżnego puchu zamarł w głuchej ciszy.

Półmrok poranny, liljowe refleksy po białych wydmach, sino-srebrne fale mglistych oparów w głębiach debrów górskich — a ponad nimi w niepomiernych wyżach ultramarina powietrznych przestworzy i spłomienione słoneczną pożogą śniegi olbrzymich, niebotycznych wierchów.

Nidowicz patrzył z niemym entuzjazmem w oddal przed siebie. Milczał. Milczeliśmy również obaj z Waygertem. Czuliśmy jednakże, że

niema nic poza tem na szerokim świecie, nic ważniejszego i nic piękniejszego.

Ogrom wrażenia opętał nam dusze.

Oto przed nami iścił się najwyższy, niedościgniony żadnem porównaniem cud niepojęty najczystszy Piękna. Niepokalana czarodziejska zjawą, pochłanająca do najmniejszych fibrów całą człowieczą jaźń spragnioną pełni. Pełnia wrażenia, ekstaza cudowna, zapamiętanie się na śmierć i życie.

— Po to chodzimy w góry. Po to — szepnęła Waygert. — Nie zrozumiecie wy nas, ludzie nowi! Otośmy przecież bałwochwalcy ziemi, plemię wczorajsze, szukające Boga i głębin życia w płytkiej zewnętrznosci, w zjawach materji, w przyrodzie znikomej! Drwijcie z nas twórcy nieprzemijających, tajemnych światów wieczystego ducha, czciciele Bogów, zrodzonych w obłędzie mrocznych dociekań i przeczuć majaczących. Otośmy ludzie bardziej niż pierwotni. Nie zrozumiecie nas...

Na horyzoncie z ponad łańcuchów gór wstawało słońce.

Na tle złocistych promieni słonecznych zarysowała się ciemnym kontrastem strzelista grupa Verfu Czarcaneul. Groźna, posępna, samotnie stercząca wśród morza wzgórzy, granatowo czarna pod blask — jeno brzegi konturowe grzbietów skrzyły się kędyś w podobłocznych wyżach oślepiającą aureolą blasków, protuberancją rozżarzo-

nych słońcem ławic lodowych i nasypów śnieżnych.

Linja świetlanych krańców ponad nami jęła się staczać w doły coraz szybciej, oplomieniając słoneczną pożogą coraz to niższe warstwy widnokregu. Błyszczące fale złocistego światła leciały ku nam po ziskrzonych śniegach od szczytów kędyś...

Jeszcze chwila.

Poblask pryzmowy ogarnął nas wokół.

I otto z ponad szczytów Czarcaneula wystrzelił nagle olbrzymi krąg słońca.

Jak rażone gromem pierzechły w ostępy przepaścistych dolin sine półmroki, seledyny ranne, srebrne refleksy mgławicznych oparów, liljowe cienie wydm.

Pustynia śnieżna oszalała orgją miarjadów skier słonecznych...

Zmrużyliśmy oczy, oślepię żarem spłomienionych śniegów, szepcąc w ekstazie najczystsze go czucia słowa modlitwy ziemskiej.

— Ave — sol...





X.

Grzbiet długi przeszło wiorstę.

Aneroid około tysiąc trzysta metrów. Pięćset różnicy względnej z Borsa-Banya. Odległość cztery wiorsty.

Na prawo i lewo pochyłość coraz stromsza, jary coraz głębsze.

Ostatni łachman boru — karłowate smreki całe zawiane śniegiem.

Wyżnia granica borów.

Ponad nią jedynie krzaki jałowca i górski kosodrzew, skryty głęboko gdzieś pod nawiejami parumetrowych zasp.

Z tyłu za nami ponad smugą wzgórzy, dzielących Cisłę od doliny Visso, w miarę wznoszenia się wystrzela w górę coraz potężniej olbrzymie złomisko północnej ściany najwyższego szczytu grupy rodniańskiej.

Verfu Pietros Mare!

Majestatyczny pion krzesanej ściany rośnie



Verfu Pietros Mare. — 2305 m. nad morzem.

nam w oczach z głębi dolin Borsy, z nad zaśnie-
żonych lasów Secatury w obłoczne wyże dwu
tysięcy trzystu metrów wzniesienia ponad poziom
morza.

Brniemy z mozołem po kolana prawie w nie-
ziadłych zaspach. Śnieg wielkopłatowy, grząski,
bez dna, puszysty. — Utrzymanie tempa idzie
opornie. Zrzucamy powoli czapy i kurty, wre-
szcie kamizelki. Pomimo mrozu robi nam się
ciepło.

Promieniowanie słonecznego blasku na pod-
obłocznych płaszczyznach śniegowych wytwarza
dziwny jakiś żar parzący skórę, oślepiający oczy.
Biada śmiałkom nieuzbrojonym w okulary śnie-
żne lub nie przywykłym do dłuższych naświetlań
żarem promieni ultrafioletowych! Spalona skóra
zaognia się wrychle, temperatura ciała wznosi się,
puls rośnie, rażone miejsca nabrzmiwiają silnie,
udar! Niejednokrotnie nawet i śmiertelny wsku-
tek sparzenia mózgu.

Zwłaszcza oczy należy pilnie chronić.

Nawet w górach nie sięgających zawrotnej
wyżyny szczytów alpejskich skutki promieni cie-
mno fioletowych bywają nieraz zgubne. Tak na-
przykład — pamiętam w roku 1914 w czasie zi-
mowej tury w pasmo Rodny współtowarzysze
moi, wybitni sportsmeni, zahartowani na działa-
nie słońca w swych długoletnich wyprawach nar-
ciarskich doktor Skórczewski Witold i Ritter-
schild Zdzisław, obaj zapadli w ciągu kilku go-
dzin na udar oczu. Parę dni poprzednich mieli-

śmy ciągle mgły — niespodziewając się zapewne słońca, czy też przypadkiem może zostawili w Borsay szkła lodowcowe, przyplacając turę spuchnięciem powiek i zamgleniem wzroku.

.

Pół do dwunastej.

Brniemy bezustannie mozolnem tempem pod szczyt Stanalui. Spóźnienie wzmaga się z chwili na chwilę. Przerachowaliśmy się w obliczeniu.

Nie przypuszczaliśmy, by grząskość śniegu absorbować czas dwukrotnie dłuższy na przejście owych paru wiorst wędrówki, niż się to dzieje przy zwykłych warunkach.

Idziemy w samych już tylko koszulach sportowych, prując zawzięcie góry puchów śnieżnych, dosięgających nam niemal kolan za lada ruchem nart.

Wzniesienie tysiąc sześćset nad poziomem.

Grań coraz stromsza.

Mamy do przebycia najcięższą partję drogi. Grzbiet zwięza się zwolna wznosząc się ostro w górę ku kopule Verfu Verticu. Odległość od szczytu przeszło dwie wiorsty. Z obu stron ramienia rosną przepastne głębie stromych kotłów. Olbrzymie masy świeżo spadłych śniegów skrzę się złowrogo w poźodze słonecznej.

— Bacność!!...

Zwał śnieżny osunął się nagle z pod nart Waygerta idącego przodem.

Krew nam zakrzepła w żyłach.

— Pojedziemy! — syczy przez zęby Stefan. Znieruchomieliśmy piorunem w miejscu.

Mała lawina spłynęła z szelestem parę stóp niżej i zapadła w śniegi.

Powiodłem wokół posępnem spojrzeniem. — W prawo i lewo przepaściste kotły pobocznych ramion Verfu Stanalui zionęły głębią cichą a zło-wrogą.

Nad nami rosło coraz stromiej w górę spadzisko grani. Śnieg błyszczał dokoła oślepiającym, migotliwym blaskiem.

Zrobiłem parę kroków wstecz.

Drugi zwał śnieżny ruszył mi nagle tuż z pod nóg.

Szum głuchy przeleciał dreszczem po ziskrzonych śniegach.

Niebezpieczeństwo jęło się rysować coraz wyraźniej.

Stromość — południe — południowe zbocze, parumetrowe, nieosiadłe śniegi.

— Tfu... pojedziemy! — powtórzył Nidowicz, nerwowym ruchem podciągając worek.

Waygert oparty w niedbałej podstawie o kij narciarski, spokojnym ruchem sięgnął do kieszeni i flegmatycznie spoglądając wkoło zapalił fajkę.

— Narty z nóg! Ostrożnie!...

Nie było chwili czasu do stracenia. Podłoże warstwy było najwidoczniej ruszone przez nas.



Vrf. Stanalui Verticu.

Złowróżebne widmo lawiny śnieżnej zajrzało nam w oczy.

— Naprzód!!

Ruszyliśmy jeden za drugim, bez nart, powoli, prostopadle w górę grzbieniem grani, po pas brodząc w zaspach, ślad w ślad — jak każe technika alpejska.





XI.

Szczyt.

W sieniei głębi, tysiąc metrów niżej morze zamarłych fal. Odmęty mroczne głuchej, niezbadanej puszczy. Labirynt debrów, jarów i ostępów, urwisk zdradliwych i borów odwiecznych.

Kędyś — na tle błękitnych przestworzy powietrznych pomiędzy ziemią a sklepem niebieskim wznoszą się arcydumnie zatknięte pionowo w nawis szczytowy Verfu Torojagi trzy pary nart.

Czarne, wyniosłe, sztywne, tryumfalne.

Fason Christjania Hagen et Company. Norvegen.

Szczyt!... szczyt!...

Zwycięstwo! Cel! Poblądle twarze! Oczy błyszczące! Oddech gorączkowy. Fale skłębionej pary z ust, białe i ciężkie. Omdlały bezwład w przemęczonych mięśniach.

I cisza...

W śniegach.

Nie ta, którą i wy znacie, mieszkańcy dołów,
nie ta, która nocą otula głuchym, nieruchomym
plaszczem śpiące siedliska ludzkie! Cisza szczy-
tów, nieokreślona, dziwnie tajemnicza, groźna,
dyszcząca krwi łopotem w skroniach, niezamącona
cisza pól śniegowych w zawrotnych wyżach pod-
obłocznych wierchów! Niesamowity blask słońca
po śniegach. Spylone srebro — migot płomieni-
sty —

Szczyt — szczyt...

I bezmiar — i cisza — i słońce...

I śniegi... śniegi...

Bezmiar — cisza — śniegi...

I tryumfalnie sterczące na szczycie trzy pary
nart.

Christiania Hagen Company. Norwegen —

— — — — —

— Nie pij! Słuchaj Stary... radzę...

Waygert spokojnie wzrusza ramionami, lecz
odejmuje od ust termoflaszę.

— Niby, dlaczego?...

Nidowicz nerwowo grzebie po kieszeniach.

— Ostatek herbaty. No, a co potem?...

— Co ty wygadujesz? Dlaczego niemam pić?
Zjeżdżamy zaraz.

— A ja ci radzę nie pij. Kto wie.

Stary mierzy go wzgardliwym wzrokiem.

— Każdy wie! Pół do drugiej. Noc za trzy
godziny. Na popasanie nie będzie już czasu.

Zamknąłem worek.

— Kończyć! Odjeżdżamy. Tempo...



Szczyt Verfu Torojaga.

Nidowicz spluwa zabobonnie.

— Będzie zabawa. Gadajcie, co chcecie — Ot, pech!

Desperacko spoziera wkoło po nawiejach śnieżnych.

— Tfu! — No, no... Nie ma co gadać! Poprostu... Boję się... Na Toedi było to samo.

Tuż pod nami daje się słyszeć nagle dziwny odgłos. Niby stęknęcie. Potem szum przeciągły, głuchy, złowrogi.

— Słyszycie!? Znowu! — Lawina! — Z pod samej grani ku Tiganului! — Na naszej drodze. Numa — zmieńmy turę! Zły znak. Słuchajcie... zgubiłem mój kismet.

— Coś zgubił?

— Kismet. Zupełnie tak samo jak wtedy — wiecie — w grupie Monte Rosy...

Waygert wybucha śmiechem.

— Magik! histeryczka! Talizman zgubił — ha! ha! Stara baba. Za piecem siedzieć, a nie chodzić w góry. Rozbecz się! Wielkie rzeczy. Głupia deska śnieżna. Psa nie przysypie —

Spojrzałem badawczo na Nidowicza. Zawsze był nerwowcem, lecz od szeregu lat wspólnych wycieczek pierwszy raz dzisiaj widziałem go w stanie tak oplotanym. Pobladł. Drżał formalnie.

— Co tobie, Stefan. Boisz się?

Próbował zachować spokój.

— Słuchaj Waygert. Nie masz się z czego śmiać. Jestem nerwowy, prawda. Ale w każdym razie nie jestem tchórzem. Chodzimy przecie ra-

zem tyle czasu, więc wiesz, że nigdy nie skrewiłem w drodze i dziś nie skrewię. Jesteście odemnie mniej zabobonni. Słusznie. Macie racje. — Bardzo się wstydzę. Mam jednak przeczucia, które nie mylą. Chciałem was więc ostrzec.

— Nie kracz!

— Macie nerwy dużo silniejsze, niż ja. Sądzę tedy, że nie przestrasza was moja... nerwowość...

— Niema obawy — upewnił go Waygert z angielską flegmą.

— Więc tak. Za nic w świecie nie chciałbym was przestraszać. Skoro jednak nie przejmujecie się zabobonami, powiem wam wprost co myślę. Pał licho mój kismet! Jak tam chcecie zresztą. Lecz mam wrażenie, że niezbyt dokładnie orjentujecie się.

— Cięgiem swoje gada! Wkoło Macieju! — Mniej słów, więcej treści... o co ci chodzi?

— O to, że poprostu lekceważycie sobie sytuację. Tiganului trzeba skreślić z tury i jak najprędzej wracać w dół tą samą drogą. Zrobiliśmy swoje — Trojaga zdobyta...

Bezmiar — słońce — śniegi. Bezmiar — słońce — śniegi — cisza podobłoczna.

Na samym szczycie Werfu Trojagi ponad deskami trzech par nart nroweskich sterczy wyniosła, atletyczna postać w bezmiarze słońca i bezmiarze śniegu.

Fryderyk Waygert.

Stary wilk alpejski. Człowiek bez nerwów. Ci-

chy a zawzięty. Nieustraszony, spokojny wędrowiec. Nieubłagany kpiarz.

— Wierz co, kochanie — mruczy, chowając na wyjezdnem fajkę. Trojaga nie Mont Blanc, czy inne Toedi. Przesadzasz nieco. Za małą godzinę pogawędzimy na Tiganului w lepszym humorze. Tempo!

Świst pędu.

Dymiące kłębam z pod nart smugi śniegu. — Poszum metaliczny. Zawrotna rozkosz staczania się w otchłań.

Czteryście metrów niżej tuż pod nami mającą karby miraskiej przełęczy. A nad nią srebrny, rozsiadły szeroko, majestatyczny wierch.

Tiganului...





XII.

Kilkanaście sekund pędzimy na dół z zawrotną chyżością.

Przełęcz miraska wznosi się ku górze, rośnie nam w oczach, zbliża się jak ziemia pod lądującym motorem awiaty.

I nagle — stop!!

Przed nami wynurza się groźnie olbrzymia ła-wa nawisu śnieżnego, niby potworny gzems nad siną bezdnią. Masy śniegów nawianych burzą na krawędzi wierchów, zastygły, zda się, przewieszzone w próżni, by za najmniejszym drgnieniem runąć w głąb na oślep urwistym stokiem grani ku przełęczu.

Jedyna droga do Tiganului przestała istnieć.

Gzems szeroki zawałający w poprzek grzbiet, przepastne zbocza na prawo i lewo, odstraszaające gruzy spadłych lawin u dna przełęczu i zgubiony kismet i rozpaczliwie desperacka mina Imci Magika — odwrót! Wstecz zwrot i marsz z powrotem w górę ku szczytowi!

O sforsowaniu przełęczy miraskiej nie było mowy.

Postanowiliśmy tedy bezwłocznie zjeżdżać tą samą drogą przez Verticu ku Borsabanya.

W ponurym nastroju cofnęliśmy się na szczyt Torojagi i rozpoczęliśmy pośpieszny odwrót na południowy wschód.

Kwadrans na trzecią.

Przy węzłowym punkcie południowego ramienia Verticu z masywem grzbietu zatrzymujemy się dla orientacji.

Mamy przed sobą dwie godziny czasu i sfalowane łagodnie spadzisko głównego trzonu grupy.

Linia grani zarysowuje się przepyszna smugą na widnokregu, niby wąż olbrzymi, skrzący pożągą splomienionych w słońcu kryształów śnieżnych.

Nonsens, czysty nonsens — a jednak...

Trzebaby chyba nie być jednym z nas, nie wiedzieć czem jest istotnie szal błyskawicowy, chyżość zawrotna, rozkosz niepojęta bezszelestnego pędu po wyżynach podniebnych śniegów między bezdnią nieba a otchłaniami mrocznej kędyś ziemi!

Trzebaby chyba nie być entuzjastą, ani sportsmenem, nie mieć krwi gorącej...

Nonsens — a jednak — dwie godziny czasu... przy szybkim tempie — może...

Hej! — zjazd granią!

— Gdyby spróbować — proponuje Waygert. Mamy czas. W godzinę można przelecieć Verfu Secului i Verfu Ghilu. Grań zniża się ciągle —



Vrf. Tiganalui.

nie nie tracimy prawie na podejściu. Marne sto metrów! Za to zjazd...

Coś kusi i wabi piekielnie...

Grań! — grań!

I zwyciężyła... grań! Miast zjeżdżać na dół wprost na Stanalui w dolinę Cisli, jak kazał rozsądek, pędzimy dalej na wschód linią grzbietu między bezdniami ziemi i niebiosów.





XIII.

Minuty czy sekundy może. Czart je wie!

Pęd zjazdu zrywa za nami chmury pyłów śnieżnych. Wiorsta za wiorstą podniebnego szlaku ginie w oddali w piorunowem tempie. Lekko pochyłe plateau Luncaciasy, szczyt Secului — potem grań, tonąca w borach Cataramy za Verfu Ghilu.

Prędziej! Byle prędziej!

Byle przed nocą dopaść dna doliny, byle wydobyć się z pancernych lodem, podniebnych wyżyn, byle przebyć bory, zawiane śniegiem, strome i zdradliwe, puszcze odwieczne o jarach bezdennych, ostępach mrocznych, debrach nieprzebytych! Byle ująć kleszczom złowrogich żywiołów, zasadzkom nocy, mrozu i znużenia...

Byleby prędziej!...

A z tyłu za nami kona powoli dzień. Chyli się zwolna, lecz nieubłagane złoty krąg słońca ku dalekim pasmom gór na zachodzie. Doliny Cisla i Valea Vaser coraz to głębiej zapadają w omrocz.

Po białych wyżach pustyni śniegowej kładą się sine, nieruchome cienie, przeświecające pod słońce fioletem. Każdy złom lodu i nasyp firnowy poczyna błyszczeć dziwnie tajemniczo, uwypuklony skośnem oświetleniem, zarysowany ostro, zolbrzymiały, wydęty, niby kolorowa bania! —

Zachód.

Po krańcach kędyś widnokręgu pałą się zimnym, umarłym odbłaskiem wyniosłe szczyty rodniańskiego pasma. W dole, z głębi jarów czołga się ku nam wraz z ślepotą zmierzchu potęgujące się pod wieczór widmo mrozów polarnych.

Prędzej! Byle prędzej!

Szum... Pęd... Kurzawa śniegowego pyłu...

Obłąd zawrotny...

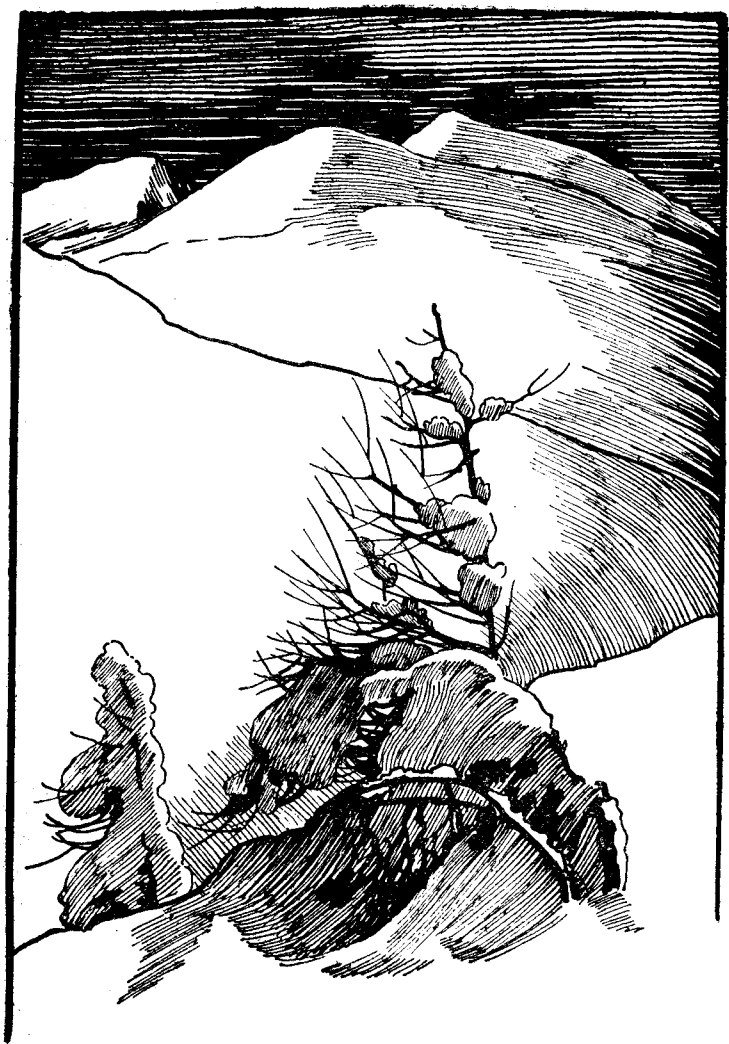
Tempo!!!

Tuż przed nami szczyt Verfu Ghilu — za nim bór — łagodne ramię ku dolinie Cisy, trzydzieści minut zjazdu puszcza leśną w Par Ariniesiu. Byle za dnia jeszcze...

Byleby przebyć zawałone śniegiem głuche ostępy arinieskiej puszczy, póki je nie śmi noc w labirynt mroczny, w czeluść otchłanną, bez kresu i wyjścia.

Jeszcze tych parę wiorst...





Vrf. Secului i Vrf. Ghilu.



XIV.

— Jezus Marja!...

W oczach mi błysnął spylony kłęb śniegu, ostry brzeg wydmy tuż pod samym lasem, prze-walająca się w tumanach pyłu, z rozpostartemi na wznak ramionami sylweta ludzka, wreszcie sterczący z rozbełtanych śniegów strzęp potrza-skanej deski.

Nidowicz wpadł na zaspę i połamał narty...

W sam czas. Za trzy kwadranse mogliśmy spo-kojnie stanąć w dolinie, nimby noc zapadła. Te trzy kwadranse dnia...

Złamana narta...

Drobiazg. W normalnych warunkach bezsprze-cznie drobiazg. W pół godziny możnaby deskę zło-żyć, zbić, obciągnąć blachą.

Ale przed nami bór mierzchnący zwolna w cze-luść upiorną, stromą, a bezdenną i topiel grząską puchowia śnieżnego i noc i senność polarnego mrozu.

Złamana narta — śmierć...

Orientujemy się aż nazbyt dobrze w swem położeniu. Waygert znieruchomiał, jak słup, z utkwionemi w nasypie oczyma, kędy z pod śniegu sterczy złowróźnie sztywny, drewniany strzęp.

Symbol zagłady.

— Czort bery!...

— Ot, — pech!!...

— Zdejmuj narty...

Stefan odpina rzemienie wiązań i grzęźnie zaraz po pas. Rozpaczliwie próbuje poruszyć się z miejsca choć krok. Nadaremnie. Topiel go śnieżna więzi w grzęzawiskach białego puchu, ubezwładnia nogi, pęta najmniejszy ruch.

Waygert podnosi połamaną nartę i ściąga z plców worek.

— Szkoda czasu. Nie zostawimy go przecież samego. Trzeba to złatać jak się da.

— A potem zdechnąć w borze. Noc za pół godziny!

— Więc decydujemy. Już! Plan pierwszy — póki jasno urządzić nocleg tutaj, nie ryzykując zjazdu. Pamiętajcie, zbliża się trzecia z rzędu bezsenna, mroźna noc.

— Może nam sił zabraknąć...

— Decydujcie. Nocleg na miejscu, czy naprawa narty i zjazd po nocy puszcza?

Stary kręci głową.

— Nonsens. Pytałem się, czy wziąć siekiere. Odpowiedzieliście, że o noclegu w takich warun-

kach w puszczy mowy być nie może. Tak i została.

— Psiakrew!...

— A pozatem — dokop się drzewa! Zmarzięte na kamień, że nie urąbiesz. Śniegu na dwa metry. Cetyna chyba.

— A bez ogniska śmierć.

— Więc nocleg w śniegu. Wykopać jamę w zaspie. Po alpejsku. Śnieg dość głęboki *).

— Nie — nie! Niema sensu! Zjeżdżajmy lepiej. Za jaką godzinę można przelecieć bór, choćby po nocy. A już w dolinie damy sobie radę...

— Jak uważacie. Może się i udać. Co do mnie jednak, wolałbym nocować. Ryzyko nazbyt duże. I cóż Stary?

Waygert podniósł głowę leniwym ruchem

*) W czasie wypraw na większe lodowce alpejskie zdarza się nieraz turystom nocować pod gołym niebem w śniegach. Zwykle w takich razach wyszukuje się drobną szczelinę lodową lub też kopie się prosto czekanami lub końcem nart jamę w śniegu głębokości mniej więcej dwóch metrów, metr długą i szeroką, po obu stronach zostawiając dwa podwyższenia, względnie wały śnieżne, pół metra wysokie jako lawy, w środku zaś szczelinę wystarczającą do pomieszczenia nóg. Skonstruowana w ten sposób chata śnieżna może pomieścić trzech do czterech turystów. Ponad jamę kładzie się poprzecznie czekany lub narty, poczem przywala się wszystko od góry śniegiem, z wyjątkiem małego otworu dla dopływu powietrza. Mimo olbrzymich nieraz mrozów i wichury nocleg w takich jamach śnieżnych bywa dość znośnym, gdyż ciepło, jakie wydaje jedna zwykła aluminiowa maszynka do gotowania, w przeciągu kilkunastu minut może ogrzać wnętrze do tego stopnia, iż bez obawy zamrożenia śpi się do rana bez względu na to, co się dzieje na powierzchni lodowców.

z nad reperatury, nie odrywając świderka od blachy, w której wykręcał otwory na śruby.

— Róbcie, jak chcecie. Może być...

Na widnokregu gasły ostatnie blaski dnia. Firmament mienił się z chwili na chwilę. Zrazu błękitny, potem sino-żółty, czerwony wreszcie jak krew.

Poblask huny oblał posoką, omroczając śniegi.

— Prędzej Stary... na miłość boską, prędzej!— noc zapada.

A Stary kuł spokojnie, klepał i przymierzał systematycznie, jak zawsze i wszędzie, choć mu zmarznięta blacha żarła palce.





XV.

— Juhiii...!! Stefan...!!

Żadnej odpowiedzi. Głusza. Mrok.

Gdzieś w górze między konarami prześwieca jeszcze od czasu do czasu sino-niebieskie widmo zmierzchłych gór.

Po śniegach gęstnieją cienie czarne i błękitne. Mroczy się puszcza wieczorowym zmierzchem. Teżęje mróz.

— Hej!... Ste...fan! — prędzej!

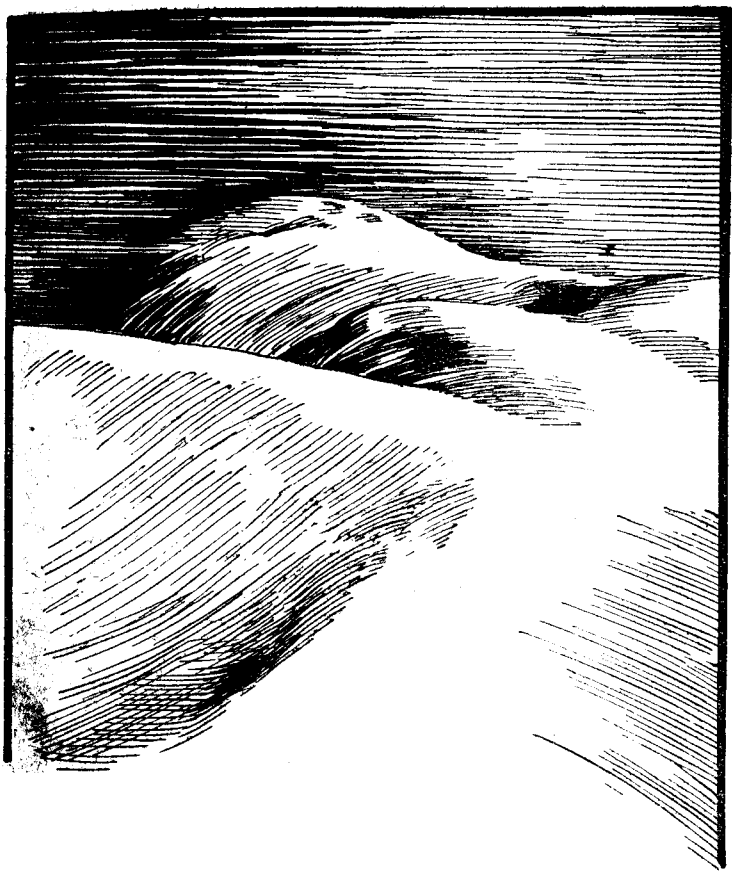
Ciemna czeluść boru. Gąszczy nieprzebyta. Wykroty odwieczne. Zwały spróchniałych drzew, zwalonych wichrem, jary i ostępy, wywierzyska głazów.

A ponad niemi śniegi! Orgja śnieżna. Paru-metrowe, lotne osypiska, wydmy, nawieje, zaspasy, debry zdradne, ławice puchu bez dna...

Puszcza w śniegach.

Minuty lecą chyżo, jak sekundy.

Zjazd!



Grán ku Luncaciasa.

Nocą — borem — stromo na łeb — zapadłym jarem — krok w krok.

Piersiami rozbijam zawaly spiętrzonych śniegów nad kłodami kędyś leżących nieraz parę metrów niżej w topieli śnieżnej drzew. Grzęzę po szyję. Chwytam się kiści smreków ponad sobą. W szalonych zwrotach mijam pnie zawiane, gąszcz nieprzejrzana, wertepy zdradzieckie.

Toruję drogę.

Zjeżdżam tedy naprzód, wyszukuję przejścia w dżunglach pomierzchłych, pruję ślad ku dołom.

Nidowicz zjeżdża z trudem i powoli, by nie obciążać deski. Złamana narta opóźnia bez końca tempo pochoud. Ochrona blaszana grozi pęknięciem za lada wywrotem.

Lecz tem gorzej.

Nie władnąc nartą, pada coraz częściej, tonąc po szyję w bezdennej topieli. Waygert pomaga mu, wyciąga z gąszczy, stawia na nogi, ratuje jak może. Poczciwy Stary...

Noc — noc. — Coraz ciemniej. Zlewają się z sobą zwały drzew i śniegów. Mętnieje wszystko wokół.

— Prędzejl... Stefan...

Zjeżdżam coraz gwałtowniej na oslep przez puszcę i czekam coraz dłużej.

Widocznie zmęczenie ogarnia tamtych dwóch. A bór się dłuży w nieskończoność chyba.





XVI.

Mapa znaczyła drogę południowym zboczem kopyły Ghilu zrazu granią grzbietu, potem na prawo w las zachodnim stokiem w Par Ariniesiu.

W istocie jednakże dopiero na dzień jaru odkrywamy ślady leśnej drożynki tuż nad potoczyskiem.

Kwadrans na siódmą wieczór.

Zjazd z grani do jaru trzy niespełna wiorsty trwał dwie i pół godziny.

Zarządzamy postój.

W blasku latarek dobywamy z worków puszeki z prowiantem, głodni i znużeni. I znowu zawód. Mięso, chleb czy bułki w potwornym mrozie zmarzły w bryły lodu, rozpływające się powoli w ustach, bezbarwne w smaku, jak śnieg, pełne krupek i kryształków lodu. Nie do jedzenia wprost.

A sił już braknie.

W takich warunkach musimy się liczyć co-

najmniej jeszcze z trzygodzinnym marszem do Borsabanya. Zjazd ostępem grani dobił nas formalnie. Nidowicz zwłaszcza chwieje się na nogach po karkołomnych ewolucjach zjazdu na swej złamanej nardzie.

Żujemy kostki cukru, byle się posilić.

Waygert z westchnieniem zamyka swój worek, pełny zmarzniętej strawy turystycznej.

— Ha — może być. Ot prawda. Miałeś kochanie rację z tą herbatą. Choćby kropelkę teraz, co? Nidowicz uśmiecha się blade.

— Kropla herbaty! A mówiłem, Stary, nie pij. Nie chciałeś słuchać. I masz. Uratowałem się.

— Już niedaleko.

— Myślisz? Trzy wiorsty puszczy arinieskiej i potem ośm wiorst zawianą drogą do Borsabanya. Niby niedaleko, ale czy dojdę? Niema sił. Cóż tu się łudzić. O rozpaleniu ognia ani mowy niema...

Puszcza przed nami głucha i bezkresna, śniegi potworne i mróz.

Nikłe światła aluminiowych latarek narciarskich pełzają trwożnie po czarnej otchłani.

Upływa parę minut.

— Chodźmy Stefan.

Nidowicz wsparty plecami o wykrot zdaje się drzemać. Bezmiernie znużenie i wyczerpanie do ostatnich granic wyziera z jego wpółomdlącej pozycji. Pochylił głowę, opuścił ramiona, znieruchomiał i sennie bezwładny. W sztywnej od mrozu czapie i stężącej, skrzącej pryzmami kurcie turysty-

cznej, wygląda w blaskach niepewnego światła raczej na kłodę przywaloną śniegiem, niż na człowieka.

— Trąć go stary. Gotów zamarznąć. Śpi. Zle się zaczyna.

Waygert zaświecił mu w oczy latarką.

— Stefan...

Poruszył się nawpółprzytomnie.

— Jeszcze... chwileczkę... zaraz...

— Psiakrew! nie śpij! Tempo! — już! Dziesięć głupich wiorst — no, Stefan...

Trząśł nim i targał, dudniąc po ostępach omroczonej puszczy swym potężnym basem.

— Dziesięć wiorst — Stefan! — tempo, już!...





XVII.

Dziesięć wiorst...

Czy jedenaście. Śmiech. W zwykłych warunkach ledwie godzina drogi. Spadek znaczny. Trudności niezbyt duże. Stroma drożyna leśna na dnie jaru. Gdzieśgdy jeno zawałona w poprzek wykrotem smreka czy nasypem śnieżnym.

Ustawiamy porządek kolejny.

Nidowicz idzie w środku, zanim Waygert, mnie znów przypada prucie puchów śnieżnych. Jestem najmniej zmęczony. Stefan z natury niezbyt wytrzymały, startuje resztką nerwów. Również Waygert znużony ciągłym niesieniem pomocy Nidowiczowi, grzęznącemu w śniegach przy zjeździe z grani, mimo sił niedźwiedzich ledwie się rusza.

Rozpoczynamy rozpaczliwy odwrót.

Trzy blade błyski latarek narciarskich zakolysały się w otchłaniach nocy w takt omdlałego tempa. Zdrętwiałe nogi ciężą, jak z ołowiu.

Raz... dwa...

W milczeniu brniemy, krok za krokiem, dnem
zawianego jaru.

Godzina ósma. Kwadrans na dziewiątą. Pół do
dziewiątej...

Jednostajne, szybkie, prześlizgujące się po
zwałach śnieżnych wahnienia świateł. Błyski mi-
gotliwe rozkołysanych w takt mrącego tempa,
zwisłych u pasa latarek alpejskich.

Wiehcie blasków miarowym rytmem pełzają
po śniegach, po wykroczysskach drzew, osędziach
smreków zawianych po czuby, głązach olbrzy-
mich, skrytych pod zaspami miriadów mrozem
wyiskrzonych ziaren białego puchu.

Raz.. dwa...

Bez wytchnienia. Ostatkiem woli. Wysiłkiem
ostatnim.

Bez końca w pustkę, w martwość upiorną,
w bezdnie przepastne nieruchomej puszczy, w noc,
w mróz...

Dech zapiera.

Potworne kleszcze wrażego żywiołu zwierają
zwolna swe złowrózbné szpony. Coraz to bliżej,
coraz bezlitośniej.

Orgja mrozu nie daje wytchnąć, przystanąć
na chwilę. Przeżera, kurty, sukna i bilroty —
żarem igliwia parzy nagą skórę, na strzępy, zda
się setkami pazurów szarpie i targa, do kości
przenika.

Bór poza nami, bór w prawo i w lewo, przed
nami, w górze, w dole, wszędzie, do obłądu wsze-
dzie, bez końca chyba....

Puszcza arinieska.

Trzy wiorsty jaru.

Minuty, kwadranse, godziny, lata, wieki... —

Raz... dwa...

Automaty posuwające się miarowym rytmem w milczeniu głuchem — bez myśli i czucia, bez woli nawet — instynktem pędzone naprzód, byle naprzód za wszelką cenę — póki tchu...

Automatycznie kurczą się i prężą mdlejące ścięgnięta nóg. Automatycznie dźwigają się ręce. Automatycznie biją w śnieg aluminiowe krążki kijów bambusowych.

Możnaby chyba wieki tak iść w próżnię, w mrok, w zatracenie.

Ani strzępu myśli, ani drgnienia czucia. Bez władz gnanego w przestrzeń automatu.

Póki się idzie.

Byleby nie stanąć, nie zmylić rytmu mechanicznych ruchów. —

W wieczność możnaby iść — dojść nawet, przemóc znużenie, nocie nieprzespane, głód i depresję. —

Tylko ten mróz, ten mróz potworny, nieubłagany, łapiący za gardziel w ostatniej chwili, gdy już przemęczenie ostatnich sięga granic, gdy omalą wole nie stać już nawet na odruch sprzeciwu...

Przędza oślizgła, lepka. Dech zatruty, sidlący zwolna w matnię ostateczną. Siła tajemna, zdradna a straszliwa.

Senność...

Szum w uszach, sine kręgi w oczach...

Zaprzepaszczenie resztek świadomości. Instynktu nawet.

Śnieg wabi i kusi i nęci, ciągnie ku sobie coraz nieodporniej, mamy zdradliwą białą grzązkich puchów, złudą ciepłoty, miękkością nasypu.

Schylić się jeno.

Monotonny poszum nart szeleszczących jednostajnym rytmem, usypiający syk śnieżnego pyłu —
— s... szach! — s... szah! — s... szah!

Bez końca. Ciągłe. Bezustannie. Godziny. Lata. Wieki...

W mierzchnącym mózgu majączy rozpacznie bezwładny łachman nieprzytomnych myśli, nieprzytomnego czucia.

— Runąć w zaspy. W puchy się zwalić miękkie. W biel przepastną. Usnąć.

Śnieg wabi i kusi i nęci. Ciągnie ku sobie siłą nieprzepartą...





XIX.

Mgła... mgła...

Mrocz sina...

Lęgnie się pod czaszką, na mózg się chory wali, oczy ślepi, mięśnie ubezwładnia, znużone nerwy mota i usypia.

Wszystko się wokół snuje przedzą bladą, zapada, niknie — bór, noc, wydmy śnieżne, błyski latarek, czarne bezdnie puszczy.

Powieki ciężą. Zwierają się zwolna, nieubłaganie. Rozpacznym wysiłkiem wyteżone przed się, wparte w mrok oczy mierzchną — Biel je ślepi, upiorna, sina biel otchłani śnieżnych, chłonna wszystko w krąg.

Mróz nawet gaśnie.

Ciepłota dziwna, ubezwładniająca wieje zatrutym tchem od zdradnych śniegów.

Mgła — Biel — Znużenie — Senność nieprzytomna...

Syk jednostajny. Szelest metaliczny sypkiego

miału zasp. Szum nart prujących śnieg rytmicznym pulsem...

— s... szah! — s... szah! — s... szah!...

Bez końca. Ciągłe. Nieustannie. Godziny. Lata. Wieki...

A potem — dzwonki...

Te z nocy onegdaj. Z drogi ku Borsy. Z chomontów rumuńskich. U sań. Dźwięczące, zgiełkliwe, rozgłośnie.

Zrazu majaczne, niby z dali kędyś dolatujące. Niby echo zmierzchłe. Niby brzęczenie jętki — pogłos senny —

Potem rosnące zwolna w mętny bełkot, rytm gadatliwy, z krwi łopotem w skroniach w jeden spętany działkot jednostajny, chichot kurczowy, rechot oszalały.

— dziau! dziau! dziau!... dziau! dziau! dziau!...

Coraz piekielniej głośny. Przerażliwszy. — Spazm histeryczny. Jęk najokropniejszy. Oblędne tętno nieprzytomnych pulsów —

— dziau! dziau! dziau!... dziau! dziau! dziau!...

Rechoce puszcza, wydmy i piarżyska, bory, ostępy, góry i doliny. Rechoce głusza zastygłych w omroczy otchłani śnieżnych. I noc i pustkowia i wszystko wokół. Jeden rechot straszny, nieustępliwy, wszechogarniający.

Wdarł się pod czaszkę, rozparł się, rozpęczniał, omotał pulsa łomocące w skroniach rytmem szalonym.

Coraz przeraźliwiej..

Nagle...

Przez sen... Z oddali...

Co to!?!...

Skurec straszny... Piekielne szarpnięcie kleszczy lodowych za opony mózgu... Obuch bijący pierś.

Mgła zczeszła. I biel upiorna. Senność i znużenie i bezwład wraży. Zamarł bełkot dzwonek. Szum nart.

Rozwarte, obłąkane oczy wparły się nagłym odruchem instynktu w czeluść potworną omroczałej puszczy.

Ni śladu bieli, majaków mgławicznych, syku śnieżnego pyłu, widm dzwonekowych.

Noc. Otchłań leśna. Głusza i martwota.

I echo czegoś, co przebrzmiało właśnie szaleństwem trwogi w czarnej bezdni boru. Czegoś, co stało się przed chwilą właśnie...

Zarycy w miejscu, oprzytomniali, obudzeni ze snu w jawę stokrotnie jeszcze przeraźliwszą, niż najczarniejszy sen, w słuch zamienieni lękiem oszalałym...

— Co to!?!...

I znowu...

Skowyt...!!

Oblęd chyba...

Wycie upiorne targnęło ostępem spowitej nocą puszczy.

Samotne, przygłuchłe, dalekie... Załamujące się schryplym półtonem...

Krew skrzepła w żyłach. Oddech zamarł w piersiach. Mózg otrząśnięty z mrocznych mgła-

wie półsnu szatańską jakąś falą przytomności ocknął się, zczaił w wyteżeniu trwożnem, w wyczekiwaniu.

Tu...! tam...! przed nami tuż...

Ogniki sine. Błyski zielonkawe. Po dwa — parami —

Przytomność. Piekielna przytomność...

— Wilki!!!...

Ślepa fosforyczne jęły wynurzać się z czeluści czarnych, pełgać, migotać, skrzyć się złowróźnie, rosnać w podskokach cichych, bez szelestu, w podrygach kocich, zwiększać się i gasnąć, w prawo i lewo, raz wraz, coraz bliżej, coraz to wyraźniej...

Wilki...

Śmiertelna orgia świadomości, wyczuwającej rozpaczny instynktem każdy, najmniejszy szczegół położenia — ! Oto, że noc dokoła i puszcza bezkresna, że do najbliższych chałup w Riu Cisła przestrzeń niezmierna, paru jeszcze chyba szatańsko długich wiorst posuwania się noga za nogą, brnięcia, wleczenia się godziny całe w zaspach otchłannych bez dna — ! Że mróz potworny, senność i znużenie ubezwładniły, skostniałe ramiona, niezdolne nawet sięgnąć do kieszeni po broń...

Latarki jeno...

Poblask migotliwy, niepewnych błysków światła przez mikowe, nawpół spękane, zakopcone szybki.

Może nie ważą się...

Złowrogie ślepie chybnęły nagle z pod nawięi krzaka nawprost przed nami.

Drgnąłem.

Migot światła przemknął po śniegu.

Ślepie zczezły w mroku.

Spojrzałem wstecz za siebie. Parę kroków za mną czerniała sztywna postać Nidowicza, a tuż poza nią majaczył niepewnie refleks latarki. Waygert.

Jeden refleks.

Nidowiczowi zagasła latarka.

— Stefan!!... na miłość goską... świeć!!!!... latarka... prędziej...

Skoczyłem ku nim.

-- Trzymajmy się razem! — Jeden za drugim. Niedaleko chyba... Światła się boją... Jedyne ratunek.... Zapal latarkę i marsz...!!

Potoczyłem smugą poblasków po omrocnych wydmach.

— Teren równiejszy. Niedaleko chyba — wiorsta, najwyżej dwie...

Tamci milczeli. Zaniepokojony podniosłem w górę światło.

— Co wam... co się stało...?

Stali bez ruchu obaj. Nidowicz piersiami wsparł się o kijki pochylony naprzód, z sennie obwisłą głową Waygert tuż poza nim sterczał nieruchomo, jak słup, z opadłymi bezwładnie rękoma.

— Cóż tak stoicie!?!... co wam?... palcie światło!!...

Nie poruszyli się.

— No...! Stefan...! — jęknąłem z trudem.

Waygert drgnął.

— Masz — świece?...

— Co?... świece?! Jakto...

Koszmar przeraźliwy wpał mi się w piersi.
Przecucie złowrogie.

— Przecież są w worku! Tuzin. Cała paczka.
U Nidowicza w zewnętrznej kieszeni — w worku...

Spazm nagły chwycił mnie za gardło.

— Jakto!!?... dlaczego!!?... mówcie co się stało...

Waygert poruszył ociężale ręką.

— Niema!

— Nieprawda!!... Były!... Jezus Marja!!... Były.

Widziałem sam na własne oczy...

— Może być. Były. Wyleciałe pewnie. Czort bery — !

Stefan. Zjazd borem na złamanej nartcie. Ciągłe wywroty. Raz wraz. Palnął workiem o krzak czy drzewo. Kłapa się rozwarła.

Z wściekłym pośpiechem zrzuciłem swój worek, mimo że kleszcze piekielnego mrozu wżarły mi w nagle odsłonięte plecy miljardy igieł ostrych i piekących.

Świece — świece — świece!! Musi się znaleźć — ! Świece — życie — świece... ogarek choć...

Daremnie.

Przeszukałem plecak w półbezwładnemi, zmarzłemi rękoma. Potem kieszenie. Potem znowu plecak.

Nic — nic — kawałka nawet — — nic zupełnie..

Świeca Waygerta ledwie tli. Ostatek. Kwadrans najwyżej. Moja trochę dłużej.

A potem...

Powiew upiornego technienia przegnał mi dreszczem przez krew.

A więc koniec.

Waygert mnie trącił w ramię.

— Słuchaj Numa. Ani sekundy dłużej. Jeszcze chwila, a tak czy owak śmierć. Ledwie się trzymam. Stefan śpi. Godziny marszu nikt z nas nie wytrzyma. Szkoda się ludzić.

Wyteżyłem z trudem mrącą świadomość.

— Więc co?...

— Ot — kwadrans, pół godziny może marszu całą parą, póki sił i światła. Albo się dojdzie, albo — —

Mechanicznie, nawpółprzytomnie poprawiłem światło, wciągnąłem worek i ruszyłem naprzód, nie oglądając się wstecz poza siebie, w czarną głąb puszczy.

— Kwadrans, pół godziny...

Ostatnie, nikłe, migotliwe smugi błysków po wydmach. Syk śnieżnego pyłu. Szum jednostajny. Szelest metaliczny. I znowu bełkot obłąkanych dzwonek, coraz szaleńszy, coraz piekielniejszy.

Mierźnie mróz, puszcza, wilki, zaspasy śnieżne, noc, przerażenie.

Biel je mętna słoń. Czeluść upiorna bez dna. Senność wraza.

Śnieg kusi i wabi i nęci, ciągnie ku sobie siłą nieodporną...

Jeszcze minuta — dwie..

Ostatni moment, odbłysek świadomości mierzchnącej w mrokach śmierci.

Przystanąłem.

Latarka tliła gasnącym ognikiem. Bez światła prawie.

Odwróciłem głowę bezwładnym ruchem. Ciemno...! Wyteżyłem uszy. Cisza...

Poza mną nie siedł nikt.

— Zostali — zamajaczyło mi w zmartwiałym mózgu.

— Trupy — szepnęła czarna głusza boru.

— I ty też...

— Za chwilę...

— Jeszcze krok...

— I poco...? — już — już! — szeleścił kuszącą pieszczotą całun śnieżnego puchu.

— Dziau! dziau! dziau!... — jęczały oszalałe dzwonki.

Nagle zerwało mi coś w stężonych piersiach.

— Cisła... o Boże!!! niemożliwe przecież... gdzieś tu, opodal... może parę kroków...

Resztki rozpacznej, śmiertelnej nadziei.

— Nie! nie!!!!... dobiegnę... uratuję siebie i tamtych obu...

I znowu siny strach.

— Jeszcze sekunda...

Obłądnym ruchem zdarłem z siebie worek, kurtę narciarską, czapę, kamizelkę.

Potworny obuch polarnego mrozu wżarł mi się w plecy, piersi i ramiona. Do ziemi przygniótł. Zaparł dech...

Ostatnim, szaleńczym wysiłkiem chwyciłem kijki i runąłem naprzód, ostatkiem sił, wpólnagi, w koszuli, na oślep w ciemność.

Zasyczał wściekle śnieg. Zgrzytnęły blachy krążków metalowych. Świsnęły gnane rozpaczliwą mocą płózyska nart...

Parę minut biegu, obłąkanego tempa, póki tchu...

Wtem... nagle...

Zaryłem się piorunem w miejscu.

Przedemną — w borze — kilkanaście kroków — tuż — — światła jakies..

— Wilki... — przemknęło mi przez błędną głowę.

Zmąconym wzrokiem wparłem się w migoty tajemnych błysków.

— Co to!?!... Złuda chyba...

Ogniki skrzyły się czerwonym blaskiem. W tem samym miejscu. Bez ruchu. Wyraźnie. Nieporuszenie.

— Widma...

Wytrzeszczyłem wółprzynomne oczy.

— Światła! o Boże! okna! domy... ludzie!!...

Ryk oszalały wydarł mi się z gardła.

Na skraju lasu — parę kroków ledwie — na wprost przedemną — lśniły migotliwie fanfarą życia roziskrzone okna pierwszych, przydrożnych chat Valea Ciska...



PRZYPISKI I OBJAŚNIENIA.

Mgła górską, mgławica, mgławisko, mraka (wyrażenie górali karpaccich) stanowi jedno z najzdradliwszych niebezpieczeństw dla turystyki wysoko-górskiej.

Turnia: szczyt skalny.

Żleb: szeroka rozpadlina między wierchami lub skałami, węższa zowie się *rynną*, bardziej stroma *kominem*.

Grań: wierzchowina szczytu, skały, turni lub całego łańcucha górskiego.

Krzesanica: lita skała.

Nawis: przewiecha śnieżna — pułka śnieżna zwisająca u grani i skał w podobny sposób jak drewniana pułka u ściany. Nawisy takie sięgają nieraz olbrzymich rozmiarów. Bardzo często szlaki wysoko-górskie na najwyższe szczyty Alp prowadzą w swych końcowych etapach takimi właśnie nawisami śnieżnymi. Oberwanie się kawałka nawisu powoduje nieraz ruszenie lawiny.

Raki stalowe: ostre, kilkunastozębne haki, umocowywane zapomocą gurtów do podeszew butów, służące do wspinania się na strome zbocza lodowe.

Czekan: stalowy kilof na długim, drewnianym stylisku.

Aneroid: barometryczny przyrząd do mierzenia wzniesień.

Firn: krupiasty, lodowaty śnieg wieczny po lodowcach.

Deska śnieżna: mniejsza lawina warstwicowa.

Grzęda: boczne ramię górskie.

Szreń: lodowa, chropawa warstwica na masach śniegów, powstała wskutek operacji słonecznej w dzień, a mrozu nocą.

Piargi: osypiska zwietrzałych, pokruszonych skał.



CYKLU GÓRSKIEGO
KLUB BŁĘKITNEJ

≡≡≡ TRÓJCY ≡≡≡

KAZ. SAY SSE - TOBICZYKA

UKAŻĄ SIĘ NIEBAWEM DWA NASTĘPNE
❖❖❖ BOGATO ILUSTROWANE TOMY ❖❖❖

I N E U

CZĘŚĆ DRUGA. — BURZA. — SZALONA
EKSPEDYCJA. — NA PIATRA ALBA.

WŚRÓD SKAŁ

≡≡≡ I LODÓW ≡≡≡

CZĘŚĆ TRZECIA. — PASSO DI BRENTA. —
DZIEWCZYNA Z PEJO — ZAWORY.

OSTATNIE NOWOŚCI!

NAKŁADEM ZAKŁADÓW
GRAFICZNYCH EUG. I DRA
KAZIM. KOZIAŃSKICH

WYDANE ZOSTAŁY NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

Dr. Adolf Exner :

POJĘCIE SIŁY WYŻSZEJ

(VIS MAIOR)

Przeład Juliana Bassaka.

Pollak Józef.

FIGLE AMORA ROMANS.

Dr. Smolarski Mieczysław.

WARNEŃCZYK POWIEŚĆ.

GWIAZDY WARNY

POWIEŚĆ.

Saysse-Tobiczyk Kazimierz.

W ŚNIEGACH

Żyżkowski Stanisław (Eszeń).

JEDNA NOC ZBIÓR NOWEL.

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

